

Rok V.
Kraków, dnia 12 lutego 1911 r.
Nr. 7.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

KSIĄŻKA.

Jeżeli sześć dni tygodnia mamy poświęcać pracy, to siódmy należy się Bogu i godziwemu odpoczynkowi, aby sił nabrać nowych do dalszej pracy. Więc przedpołudnie niedzielne ofiarujmy kościołowi, a popołudnie zaś, nie zaniedbując nieszporów, postarajmy się o rozrywkę taką, którahy nam była prawdziwem odetchnięciem po trudach i kłopotach. Przecież każdy potrzebuje jakiegoś kąta świątecznego, jakiejś własnej swojej przystani, gdzieby nie na codzień, ale czasem, po szczególniejszych dniach trudu i walki odpoczął, umocnił się, otuchy nabrał. Tym kątem, tą przystanią, może być dla jednego Boża przyroda, dla innego np. jakaś sztuka, którą posiada (może śpiewa albo rysuje), dla innego wreszcie książka. Książka potrafi nauczyć, pocieszyć, rozerwać; książka jest przyjacielem i doradcą; książka zastąpi widoki świata i rozmowy ludzkie; książka może myśl naszą myślami zapełnić nowemi, uwagę zwrócić ku rzeczom wielkim i dobrym. Tylko... trzeba umieć czytać.

Trzeba umieć czytać — to znaczy, trzeba dzieckiem uczyć się w szkole, aby potem nie sprawiało trudności odgadywanie liter. — Gdy ktoś nie umie gładko czytać, gdy musi się namozolić, nim złoży wyraz, cała piękność książki dla niego na nic, bo nie może jej pojąć, całą uwagę wytężając na spamiętanie początku czytanego słowa. Takiemu czytanie nie będzie świętem ani odpoczynkiem, ale mozołem.

Ale »trzeba umieć czytać« znaczy jeszcze co innego, mianowicie: trzeba umieć wyrozumieć o co autorowi chodziło, jaki był cel, który mu świecił przy pisaniu książki. Rzadko zdarza się, aby ten, co układał książkę, otwarcie i wyraznie mówił: »chciałem wam powiedzieć to i to«; więc n. p. choć mówimy o książce jakiej, że jest napisana przeciw żydom, napróżno szukalibyśmy w niej takiego zdania, któreby otwarcie, w imieniu autora, żydów potępiało i cel autora zdradzało. Piszący ma do tego inne środki; on może myśl swoją czy uczucie wypowiedzieć przez osoby występujące w jego książce, przez ich charaktery, przez koleje ich losów.

Znana jest cudna powiastka Sienkiewicza »Latarnik«. Na dalekiej wysepce oceanu Polak latarnik, przy czytaniu »Pana Tadeusza« zapomina o spełnieniu swego obowiązku, zapaleniu latarni, i starzec, skołatany, samotny, wydalony ze służby amerykańskiej, raz jeszcze szukać musi nowego zarobku. Czy Sienkiewiczowi chodziło tylko o tę historyę? czy nie miał nic innego w myśli i na celu? Oto pokazać chciał, że Matka-Ojczyzna żąda od nas ofiar, gdziekolwiek jesteśmy i jakiekolwiek mamy życie. Tam, ów starzec po polsku zapomnieć nie chciał, książkę polską czytał — i oto tej mowie polskej mógł ofiarować jedynie: spokój reszty swych dni.

I jeszcze chciał Sienkiewicz pokazać, czem może stać się książka. Zwłaszcza Polakowi. Toż w książce jedynie znaleźć dziś możemy dawną Ojczyznę; toż nie mamy jej na mapie Europy; toż zatracamy ją coraz bardziej w obyczajach naszych sami; toż obcy starają się zabić ją we wszystkiem, czem żyje.

»W tobie lud składa broń swego przymierza«.
»Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty«.

»Broń przymierza«, to nadzieja, że nie zapomnimy i że nadejdzie czas...

»Myśli przędza« — to wszystko, co naród przeduma i przemarzy, gdy mu jeszcze działać nie wolno. »Uczuć kwiaty« — to narodu cierpienia, to krzyk niewoli, to Mickiewicza na wygnaniu napisany »Tadeusz« i »Dziady«, to Słowackiego tęskne obrazy.

To wszystko możemy wyczytać w książce. Oczyma i — sercem. Bo bez serca nie zabierajmy się do czytania nigdy. Pomyślmy zawsze, że ten, co mówi do nas z owych kartek, przyniósł nam co miał najlepszego; że włożył w nie to, czego pragnie dla przyszłości, to, co zajęło niejedną noc jego, na czem niejeden strawił dzień. Miejmy dla książki szacunek i kochajmy ją.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

3. Rozczarowanie.

Nazajutrz rano Juda kazał się zaprowadzić do domu Simonidesa. Był to budynek z szarego, nieciosanego kamienia. Ciężko zakratowane otwory w murze, pod samym niemal dachem, służyły za okna. Na placu przed domem leżały nagromadzone stosy towarów niewolnicy naładowywali je na łodzie. Pod mostem stały na kotwicy niezliczone okręty, a wszystkie powiewały żółtemi chorągiewkami.

Ben-Hur, pogrążony w swych myślach, nie słyszał wrzawy. Teraz dopiero, gdy był tak blisko celu swych marzeń opadały go wątpliwości. Czy Simonides zechce mówić i przyznać się, że był niewolnikiem jego ojca? On, człowiek tak przebiegły i niewątpliwie chciwy, miałby się dobrowolnie wyrzec bogactw, znaczenia, berła handlu, które dzierżył wszechpotężnie w swych dłoniach kaleki?

Sama myśl o tem wydała mu się szaleństwem. A jednak czerpał otuchę w swoich prawach; nadzieja nie dawała się tak łatwo wypędzić z tego młodego serca. Jeśli to, co słyszał, było prawdą, Simonides wraz z niezliczonemi swemi bogactwami był jego własnością. O bogactwa Ben-Hur nie stał wcale. Gdyby zmiarkował, że chciwość zamyka usta kupcowi, oświadczy mu bez wahania, aby powiedział, co wie o matce i Tirzie, rachunków nie będzie wymagał. Dodając sobie w ten sposób odwagi, przeszedł śmiało próg domu. Wnętrze jego było składem przeróżnych towarów. Przy świetle zawieszonych na ścianach latarni niewolnicy odbijali paki i układali towary.

— Czego sobie życzysz? — zapytał, przystępując do Ben-Hura, jeden z krzątających się sług.

— Chciałbym się widzieć z Simonidesem, kupcem.

— Idź za mną!

Idąc przez ciemny korytarz, u jego końca stanęli przed nawpół uchyloną kotarą. Przewodnik rzekł:

— Jakiś nieznajomy pragnie widzieć się z naszym panem.

Dźwięczny głos odpowiedział na to:

— W imię Boże niech wejdzie.

Ben-Hur wszedł do dużej komnaty, wysłanej wzorzystym kobiercem. W pokoju było dwoje osób: na fotelu o wysokich poręczach, obstawiony poduszkami, siedział mężczyzna, poza nim stało młode dziewczę.

Na widok tych owojga ludzi krew uderzyła Ben-Hurowi do głowy; skłonił się nisko, nietyle przez szacunek, ile dla pokrycia wzruszenia. Opanowawszy je, po krótkiej chwili odezwał się w te słowa:

— Jeśli jesteś kupiec Simonides, Żyd, niech pokój Boga ojca naszego, Abrahama, będzie z tobą i z twoimi! — dodał, zwracając się do dziewicy.

— Jestem Simonides, o którym mówisz, z urodzenia Żyd — odparł kupiec głosem pełnym i dźwięcznym — zwracam ci twe pozdrowienie i proszę, abyś mnie objaśnił, jaki gość zaszczyca mój dom i moje progi.

Ben-Hur przyglądał się bacznie Simonidesowi. W zagłębieniach poduszek leżała jakaś bezkształtna masa ciała, okryta w ciemną jedwabną szatę. Nad temi zmiażdżonemi przez tortury ramionami królowała głowa, godna wielkiego męża. Mleczne włosy spadały na białe brwi; w tej oprawie oczy wydawały się jeszcze czarniejsze. Blada twarz pokryta była, zwłaszcza naokoło ust, siecią drobniutkich zmarszczek. Było to oblicze człowieka, co nagiąłby raczej świat do swojej woli, niżby mu się sam miał poddać; człowieka, któryby gotówby raczej skonać na torturach, niż wydobyć z piersi jeden jęk, skargę lub słowo wyznania; człowieka, któryby raczej umarł, niż odstąpił od raz powziętego zamiaru. Mogło go zwyciężyć tylko jakieś wielkie uczucie — nigdy przemoc.

— Jestem Juda, syn Ithamara, zmarłej głowy domu Hurów i księcia Jerozolimy.

Prawa ręka kupca, ręka chuda, o pokurczonych palcach, leżała na kolanach Judy. Przy słowach tych zacisnęła się konwulsyjnie — zresztą nic nie świadczyło o jakiemkolwiek wrażeniu.

— Szlachetnej krwi książęta Jerozolimy są zawsze miłymi gośćmi w moim domu. Witam cię zatem uprzejmie. Estero, podaj siedzenie temu młodzieńcowi.

Ben Hur nie przyjął podawanego sobie stołka.

— Proszę czcigodnego Simonidesa — rzekł — aby mnie nie brał za natręta. Jadąc wczoraj statkiem, słyszałem, o starcze! żeś znał mojego ojca i przychodzę. .

— Znałem istotnie księcia Hur — przerwał kupiec. — Mieliśmy ze sobą interesa, lecz, proszę cię, siadaj. Estero! poczęstuj młodego człowieka winem. Nehemiasz wspomina jednego z potomków Hura, co rządził niegdyś połową Jerozolimy. Stary, prastary ród, zaiste!

Kończył właśnie te słowa, gdy przed młodzieńcem stanęła Estera, trzymając w ręku srebrny kubek. Podawała mu go ze spuszczonemi oczyma. Chcąc odsunąć napój, dotknął zlekka jej ręki.

I znowu oczy ich się spotkały; zauważył przytem, że choć była mała — dochodziła mu zaledwie do ramienia — lecz kształtna i piękna i słodka, a oczy jej czarne, duże, patrzyły tak smętnie, że go sobie niemi zjednała na zawsze.

— Jest bardzo dobrą, pewny tego jestem... — pomyślał. — Tirza, jeżeli jeszcze żyje, musi być do niej podobną. Biedna Tirza!

I otrząsnąwszy się z zadumy:

— Dziękuję — rzekł. — Ojciec twój, bo wszak mąż ten jest twoim ojcem?

— Jestem Estera, córka Simonidesa — rzekła z godnością.

— A więc, piękna Estero, ojciec twój daruje mi niewątpliwie, iż nie chcę umaczać ust w słodkim napoju, skoro usłyszy to, co mam mu powiedzieć. Spodziewam się jednak, że znajdę łaskę w twoich oczach. Stań tu, przy moim boku.

I zwracając się do kupca:

— Simonidesie! — rzekł z powagą — ojciec mój miał wiernego sługę twojego imienia; mówiono mi, że tym sługą jesteś właśnie ty.

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął połamanem ciałem kaleki; ręce jego zacisnęły się jeszcze silniej.

— Estero, Estero! — zawołał groźnie — tu twoje miejsce, nie tam. Jako moje i żony mojej dziecię, stań tu, koło mnie!

Dziewczyna przenosiła wzrok swój od gościa na rodzica wahała się, lecz nie dłużej, jak przez mgnienie oka; potem, posłuszna, postawiła na stole kubek i zajęła dawne swe miejsce u krzesła ojca; ręka jej spoczęła na jego ramieniu.

Simonides rękę tę wziął w swoje dłonie i opanowawszy swe wzruszenie, mówił jak przedtem poważnie i ze spokojem w te słowa:

— W obcowaniu z ludźmi zestarzałem się a zestarzałem się przedwcześnie. Ten, co ci tyle o mnie

opowiadał, jeśli zna mnie osobiście, musiał cię zapewne ostrzedz, że jestem podejrzliwy i pierwszemu lepszemu nie dowierzam. Na świecie mam niewiele osób sobie drogich. Jedną z nich jest ta oto, która dotąd oddaną mi była z zaparciem samej siebie, a jest taką osłodą w mojem nędznem życiu, że gdyby mi jej zabrakło, zeszedłbym do grobu.

Estera nachyliła się nad nim i złożyła pocałunek na jego czole. Simonides mówił dalej:

— Druga moja miłość jest wspomnieniem. Mogę o niej powiedzieć tyle tylko, że jakby błogosławieństwo boże rozciąga się ona na całą rodzinę; gdybym tylko, ach! gdybym tylko mógł wiedzieć, gdzie oni są i co się z nimi dzieje!

— Matka moja! siostra! — zawołał, podbiegając do kupca Ben-Hur — powiedz, zaklinam cię, wszak mówisz o nich?

Estera podniosła na młodzieńca spojrzenie pełne najwyższego współczucia, lecz Simonides był niewzruszony.

— Wysłuchaj mnie do końca — rzekł chłodno. — Zanim zgodzę się dać ci odpowiedź, w imieniu właśnie tej miłości zapytuję cię: jakie masz dowody na poparcie słów twoich? Czem możesz stwierdzić, że pochodzisz istotnie z książęcego domu Hurów?

Pytanie to było prostem. Simonides miał wszelkie prawo je zadawać; a jednak Ben-Hur załamał ręce i stał milczący, jak posąg rozpaczy. Na żądanie podobne, tak proste, nie był przygotowany: nie przewidywał go wcale; teraz dopiero, gdy je usłyszał, jak dalece było słusznem i nieuniknionem.

Tak, pojmował to doskonale, widział, że nie zdoła przedstawić żadnych dowodów. Przez trzy lata, spędzone na galerach, zostały one zatracone, ślad ich zaginął raz na zawsze; matka i siostra zniknęły bez wieści, nikt nie mógł świadczyć mu.

Nigdy jeszcze dotychczas nie czuł Juda tak boleśnie swego osamotnienia.

I stał tak z założonemi rękoma, z zarumienionem od doznanego upokorzenia obliczem.

Kupiec, szanując jego cierpienie, czekał, aż sam przemówi.

— Czcigodny Simonidesie! — zabrał wreszcie głos — jedno tylko uczynić mogę: opowiem ci dzieje mojego życia. Zechciej wysłuchać je łaskawie, poczem dasz mi wiarę lub nazwiesz podstępnym kłamcą. Spuszczam się na twój sąd.

— Mów — rzekł Simonides z niezmiernym chłodem — a słuchać cię będę tem chętniej, żem ci dotychczas nie zaprzeczył, jako jesteś tym, za którego się podajesz.

Ben-Hur począł tedy opowiadać swe życie w słowach krótkich, lecz z uczuciem, które jest źródłem wszelkiej wymowy; chciał wlać wiarę w swych słuchaczów.

Ponieważ dzieje te są nam znane aż do chwili, gdy młodzieniec wraz z Arriusem powrócił ze zwycięzkiej wyprawy na morze Egejskie, zaczniemy je więc od tego miejsca.

— Mój dobroczyńca — ciągnął dalej Ben-Hur — lubianym i cenionym był u dworu, posiadał przyjaźń i zaufanie samego cezara, który za odniesione zwycięstwa nagrodził go wielu odznaczeniami i dostojeństwy. Zacny ten człowiek przyznał mnie za syna według wszelkich formalności rzymskiego prawa; zrobił dla mnie bardzo wiele, ale też i prawdziwy syn nie może być bardziej uległym i przywiązanym do ojca, niżem ja był dla niego. Lecz czy można zapomnieć o swej wierze lub o kraju rodzinnym, zwłaszcza, jeżeli krajem tym jest święta ziemia naszych ojców? Arrius chciał zrobić ze mnie uczonego. chciał mi dać pierwszych mistrzów w sztukach; oparłem się jego naleganiom... byłem Żydem i nie mogłem zapomnieć Jehowy, ani chwały jego proroków, ani miasta wzniesionego na wzgórzach przez Salomona i Dawida. Oprócz tego miałem powód, który zmuszał mnie do uczenia się wszystkiego, co jest potrzebne do sztuki wojennej. Na polu bitew okrywałem sławą imię, którem nosił, ale nie było to imię mojego ojca. Dążąc wciąż do zamierzonego celu, opuściłem stolicę, przybyłem tu w orszaku konsula Maxentiusa, bo chcę wziąść udział w wyprawie jego na Partów. Jestem już mistrzem w robieniu orężem, muszę się teraz nauczyć kierowania korpusami na polu bitwy... Wczoraj, płynąc na wodach Orontesu, słyszałem wiele o tobie z ust jakiegoś Izraelity. Opowiadał on, nie wiedząc, jak żywo mnie to obchodzi, że w mieście jest bogaty kupiec, nazwiskiem Simonides, że ów Simonides jest Żydem i że był niegdyś sługą księcia Hura; mówił także o okrucieństwach Gratusa i jego pobudkach.

Szata, przykrywająca złamane członki starca, poruszyła się od konwulsyjnego drżenia, co przebiegło po nich na to wspomnienie. Estera pochyliła się nad ojcem i wziąwszy głowę jego w swe dłonie, złożyła na niej długi pocałunek.

W mgnieniu oka kupiec opanował swe uczucia.

— O dobry Simonidesie! — zawołał z rozpaczą Ben-Hur, przystępując do niego — dlaczego nie umiem cię przekonać, dlaczego stoję jeszcze w cieniu twego posądzenia? O zacny, o czcigodny Simonidesie, zechciej mi uwierzyć.

Twarz kupca zimna była, jak marmur, i usta jak marmur, milczące.

Nieszczęśliwy młodzieniec zakrył twarz rękoma. Potem zwrócił się do kupca i mówił:

— Za chwilę odejdę, aby cię nie niepokoić więcej — i po co? Dowodów żadnych przedstawić ci nie mogę... bez nich wierzyć mi nie chcesz... jesteś w prawie. Zanim cię jednak pożegnam, powiem ci jeszcze jedno. Nie myśl, abym tu przyszedł upominać się o bogactwa, odbierać ci pieniądze, towary i okręta, lub też, aby wrócić cię do służebnictwa. Gdybyś nawet zechciał mnie uznać, byłbym ci powiedział, jak mówię w tej chwili: wszystko coś przysporzył pracą swą i dzięki tym zdolnościom, twojem jest. Używaj w spokoju owocu twych trudów, dla siebie ich nie wymagam. Jestem bogaty. Idąc tu, chciałem tylko dowiedzieć się od ciebie o mojej matce, o siostrze. Oh! powiedz mi, co o nich wiesz, raz jeszcze cię błagam!

Grube łzy spływały po licach Estery, Simonides był niewzruszony.

Powiedziałem ci — odparł dźwięcznym swym, lecz zimnym głosem — powiedziałem ci już, żem znał księcia Hura. Wieści o nieszczęściu, jakie spadło na jego rodzinę, doszły mnie w swoim czasie. Ten, co pogrążył w takiej niedoli wdowę i dzieci po moim przyjacielu, tem samem i mnie dosiągł w samo serce. Powiem ci więcej: czyniłem wszelkie możliwe poszukiwania, aby odnaleźć drogą mi rodzinę, ale nadaremnie. Zniknęła bez śladu.

Z piersi Ben-Hura wydobył się głuchy jęk.

— A więc, a więc wszystko już stracone. Nic mi nie pozostaje, jak zemsta. Daruj mi, żem był natrętny, lecz widzisz, ja tak bardzo cierpię... miałem nadzieję... Wszystko stracone! Żegnam was!

Skierował się ku drzwiom. Doszedłszy do kotary, odwrócił się raz jeszcze.

— Dziękuję wam... obojgu — rzekł oddalając się... może na zawsze...

Estera zanosiła się od łkania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nieszczęsna jabłoń.

(Zdarzenie prawdziwe z 1910 r.).

Piękny dzień listopadowy uśmiechał się ciepłą pogodą, jak gdyby ostatniem tchnieniem przed nadchodzącym grudniem. Od chaty Sobka Rolniaka zdążał stary Michał, wyrobnik, z .czternastoletnim Józkiem, by w polu w miedzy wykopać starą dziką jabłoń.

— Tylko ta Michale uważajcie przy pracy! bo o nieszczęście nie trudno — rzekł za odchodzącymi sąsiad Sebastyan.

— No, już wy się ta nie bójcie — odrzekł Michał — przecież to nie pierwszy raz taka praca się zdarza.

I poszli dalej, gwarząc sobie wesoło.

— Wiesz co, Józek? jakoś mi się zdaje, że takie powietrze ciężkie i słońce blado jakoś świeci — rzekł po chwili stary Michał.

— A bo ta już w listopadzie nigdy tak wesoło słońce nie świeci — odrzekł Józek.

— Prawda to wielka — rzekł Michał — bo ta i zima macocha zbliżać się będzie, a co gorsza, jak ją będzie spędzić. Przyodziewku nie mam dobrego, ani butów, a tu pieniędzy niema; chata kiepska i drzewa na opał niema; oj bieda to, zawsze bieda.

Tak biadał stary Michał, a nie przeczuwał tego, że tej zimy nie będzie potrzebował się troszczyć o żadne potrzeby.

Wśród tej gawędy doszli na miejsce i wzięli się do pracy. Józek odkopywał ziemię a stary przecinał korzenie. Gdy się już z gorszemi korzeniami uporali, pozostawało im tylko kilka małych do ucięcia, które stary docinał, a Józek z boku patrzył, czy się jabłoń nie nachyla.

— Cofcie się Michale! — rzekł po chwili — bo zdaje mi się, że jabłoń na was się nachyla.

— E, to ci się tylko tak zdaje, jeszczebyś do Rzymu pielgrzymkę odbył i zastałbyś jeszcze jabłoń stojącą — odrzekł Michał i ciął dalej spokojnie.

— Uciekajcie prędko! — krzyknął Józek. Lecz zanim się stary spostrzegł, już z ogromnym trzaskiem jabłoń runęła, gniotąc pniem swoim starego Michała, który ze strasznie zgniecionym tułowiem, już światła więcej nie oglądał.

Przestraszony Józek oniemiał ze strachu i nie wiedział, jak pędzić do domu. Gdy wpadł do chaty, z trudem wybełkotał, że Mi... Michał jabłoń przywalił. Śmiesznie powiedział, lecz nie było czasu na śmiech, lecz prędko pospieszyli z domu na ratunek. Odwalili jabłoń, ale o wskrzeszeniu Michała nie było ani mowy, tak był zdruzgotany. — Pamiętajmy, kochani czytelnicy, na słowa Pana Jezusa:

— Bądźcie gotowi, bo nie wiecie kiedy na sąd Boży staniecie, bo i biednemu Michałowi ani się śniło, co go czeka, a dziś ziemia cmentarna zaspokoiła wszystkie jego potrzeby na zimę.

Piotr Załubski.

Gawędy o różnych sprawach

Skrócony proces.

Ważną dla włościan ustawę wniosło teraz ministerstwo sprawiedliwości do parlamentu. Pragnie ona skrócić cywilny proces sądowy, bo do sądów już tyle spraw napływa, że sobie już rady dać nie mogą.

Dotąd, jak to każdy wieśniak wie, gdy ktoś chce kogo skarżyć np. o 200 koron lub o 200 korcy ziemniaków wartości 500 kor. to musi dłużnika zaskarżyć w sądzie o zwrot pieniędzy lub ziemniaków. Gdy sędzia otrzyma skargę wyznacza termin do rozprawy i wzywa do niej skarżącego i zaskarżonego, i świadków. Gdy powód tj. skarżący, oraz pozwany tj. zaskarżony — obaj się nie zjawią, to cały proces spoczywa i powód może dopiero za trzy miesiące na nowo wytoczyć proces pozwanemu. Gdy stanie na rozprawę tylko jeden z nich np. sam powód lub sam pozwany, to zapada wyrok zaoczny i z reguły ten, kto się nie stawił na rozprawę, proces przegrywa. Gdy obie strony staną na rozprawę, to może między nimi dojść do ugody a gdy nie chcą, odbywa się proces, poczem sędzia wydaje wyrok według swego przekonania.

Tak jest u nas dotąd, ale ma być inaczej. Może za kilka miesięcy, jeżeli parlament uchwali, będzie tak:

Kto ma jakąkolwiek pretensyę do kogoś, nie będzie skarżył, stawał na rozprawie sądowej i czekał na wyrok, lecz będzie mógł zażądać od sądu ustnie lub pisemnie, aby sąd, w którego okręgu znajduje się dłużnik, wydał do tego dłużnika bez żadnego procesu nakaz zapłaty tj. aby ten dłużnik zapłacił powodowi żądany dług z procentami i kosztami sporu do dni 14 pod rygorem egzekucyi. Jeżeli dłużnik czuje się tym wyrokiem pokrzywdzony, bo albo nic nie winien, albo nie tyle, na ile go skazano, to w dniach 14 od otrzymania tego nakazu zapłaty może wnieść rekurs do tego samego sądu ustnie lub pisemnie i wtedy odbywa się zwyczajna rozprawa. Jeżeli jednak jest tym wyrokiem czyli nakazem zapłaty pokrzywdzony a nie wniesie w przepisanych 14 dniach, to nic mu już nie pomoże i tyle, na ile został skazany, musi zapłacić.

Uproszczenie procesu polega więc na tem, że gdy kto jest tyle rzeczywiście winien, na ile go skazano, nie będzie wnosił rekursu, boby i tak przegrał i tylko kosztów sobie narobił; innemi słowy, bez procesu, z małymi kosztami, zapłaci dług powodowi i nie będzie, jak dotąd, czekał aż do ugody sądowej lub aż do przeprowadzenia procesu i wyroku. Gdzież więc jest w tem niebezpieczeństwo dla ludu, które prawnicy widzą?

Oto w tem, że nasz lud jest po większej części nieporadny i że jeszcze miliony ludzi w Galicyi nie umie czytać. Człowiek taki nieraz otrzymawszy niesłuszny nakaz zapłaty, schowa go, zapomni o nim lub spóźni się z rekursem i chociaż nic nikomu nie winien, musi w takim razie zapłacić, na ile został skazany i żadne moce go od tego nie uwolnią. Dalej w tysiącach procesów, jak wykazują cyfry, najczęściej wieśniacy i robotnicy miejscy są dłużnikami czyli pozwanymi i oni też przedewszystkiem otrzymywaliby takie nakazy zapłaty i z nieporadności czy słusznie czy niesłusznie, nie wniósłszy w odpowiednim czasie rekursu, musieliby płacić i często żyd lub chytry sąsiad, znając pierwszego lepszego nieporadnego wieśniaka, zaskarżyłby go zupełnie niewinnie lub o jakąś większą, niż się mu należy, sumę, a biedny wieśniak czy robotnik, musiałby zapłacić.

Ten skrócony proces nazywa się p o s t ę p o w a n i e m u p o m i n a w c z e m.

W drodze na Sybir.

Czasy to bolesne. Rok 1863. Wrzało w całym kraju... Wreszcie wybuchło powstanie, gdyż młodzież gorąca nie wytrzymała ucisku. Pewnej nocy ulicami Warszawy spieszyli ku rogatce dwaj młodzi ludzie w krótkich kożuszkach, ze strzelbami myśliwskiemi ukrytemi pod odzieżą.

Byli to przyjaciele, studenci uniwersytetu. Szli do obozu powstańców zbierającego się pod Skierniewicami, o parę mil od Warszawy w ogromnych lasach rządowych. Dotarli tam, znaleźli obóz powstańców i naczelnik ich przyjął.

W dwa dni potem pierwsza potyczka. Powstańcom udało się przebić przez otaczający ich łańcuch moskiewski, ponieśli straty, ale wielu wrogów padło trupem na białym śniegu leśnej polany.

Rozproszony oddział zebrał się o kilkanaście mil dalej pod Rudą Guzowską. Tu nie poszczęściło się ich orężowi. Przeważający nieprzyjaciel otoczył oddział pułkownika Oskierki, który dowodził powstańcami, połowę wymordował w strasznej bitwie, reszta rozproszona rozbiegła się po lasach, chroniąc, jak stado rozproszone, gdzie kto mógł. Do nich należeli nasi dwaj młodzieńcy. Tydzień tułali się z trudem, obaj ranni... Wreszcie nie uszli strasznego losu. Patrol kozacki chwycił ich w zagajniku, przytroczył do koni i przywlókł do kwatery rosyjskiej w miasteczku. Złożono sąd i skazano obu na śmierć. Nazajutrz miał się odbyć zatwierdzony wyrok. Ale nadjechał wysoki jenerał rosyjski. Człek widocznie ludzki, albowiem z brzaskiem zimowego dnia wyprowadzono dwóch skazańców, bladych, wynędzniałych, pokrwawionych i ustawiono ich pod szubienicą na środku rynku; jenerałowi zrobiło się żal młodzieńców i ułaskawił ich. Wyrok zaś brzmiał teraz: na Sybir!

Poszli więc obaj, poszli tak, jak wtedy wszyscy szli: licho odziani, w zimę, mając przed sobą tysiące mil drogi. Razem z nimi kilkudziesięciu powstańców z innych stron kraju, na ten sam los skazanych. Tydzień za tygodniem mijał, a gromada nieszczęśliwych szła naprzód ku granicom dalekiej Azyi. Szli łańcuchem jeden za drugim, jak nakazywał regulamin wojskowy, a z boku harcowały straże konne kozaków i szli żołnierze.

Szli tak przez zadymki, zaspy i lody. Niektórzy słabli coraz bardziej, ale szli naprzód, podtrzymywani przez towarzyszy niedoli, pokrzepiani przez nich na duchu. Aż zaczęły się wyczerpywać siły wielu z tych męczenników za ojczyznę. Od czasu do czasu padał to ten, to ów, z imieniem Polski na ustach, z wiarą w Boga, ze wspomnieniem domu rodzinnego na duszy. Ten, który padł, pozostawał na miejscu. Towarzysze zmuszeni iść dalej, żegnali go ostatniem wejrzeniem i znakiem krzyża świętego. Ciało leżało na pustym stepie śnieżnym, aż zbiegły się kruki, wrony, sępy, aby dokonać strasznego pogrzebu wygnańca. Tak zginął młodszy z dwóch Warszawiaków.



Wielu, wielu tam zamknęło oczy na zawsze. Droga na Sybir to droga bohaterstwa. Uczcili ją poeci trenami żałobnemi, uczcili i malarze polscy niejednym obrazem, na widok którego do oka ciśnie się łza współczucia. Jeden z tych obrazów podajemy tu obok.

Młody powstaniec oddaje Bogu ducha a towarzysze z boleścią żegnają go.

Pociąg pod śniegiem.

My, Polacy, chociaż klimat u nas ostry i nieraz tęgie zimy, nie możemy mieć nawet wyobrażenia, co się dzieje na dalekiej Północy, na Syberyi, gdzie śnieg zasypuje często całe wsie, tak, że ledwie dachy z chałup widać, i mieszkańcy na całe tygodnie bywają uwięzieni w mieszkaniach. Na takie wypadki są oczywiście w zimie przygotowani i mają zapasy jadła, wody i paliwa. Zdarza się też na Syberyi — w tym roku były już takie wypadki — że pociąg ugrzęźnie w zaspach śniegowych. Gdy nieszczęście spotka podróżnych w pobliżu wielkiego miasta, łatwiej o ratunek, ale najgorzej, gdy stanie się to na dalekim stepie o kilkadziesiąt mil od osad ludzkich, bo wówczas biedni podróżujący nawet całymi tygodniami mieszkać muszą w zasypanym pociągu i gdyby w nim brakło zapasów żywności, byliby narażeni na śmierć głodową.

Niema wątpliwości, że w takiem położeniu ten iów puściłby się w drogę, aby przedrzeć się przez zaspy śnieżne i znaleźć wśród ludzi ocalenie, ale też i to pewne, że zanim doszedłby do jakiejś osady, dziesięć razy śmierćby poniósł, gdyby można było dziesięć razy umierać. Pominąwszy już to, że na Syberyi zaspy śnieżne bywają poprostu nie do przebycia, ale wśród tych śnieżystych obszarów grasują liczne stada zgłodniałych wilków, którym człowiek służyłby za miłą przekąskę.



Ale wróćmy do rzeczy! Obrazek nasz przedstawia, jak z zasypanego go pociągu kolejowego na Syberyi wyciągają podróżnych na linach.

Niema jednak takiej smutnej rzeczy, z którejby nie można wydobyć coś śmiesznego. Taka bardzo zabawna anegdotka jest treścią jednej z powiastek, pisarza rosyjskiego, Doroszanina.

W licznem towarzystwie przyjaciół, gdy zgadało się o zasypanych pociągach pewien stary pułkownik opowiadał taką przygodę:

— Jechałem raz, dyabli wiedzą po co, koleją. Na dworze była zawieja. Z nudów zdrzemnąłem się. Gdym się zbudził, w wagonie było cicho, jak w grobie. Czyżby stacya? Spojrzałem w okno — jedna biała płaszczyzna, przylegajaca szczelnie do szyby. Ruszam ku drzwiom — próbuje otworzyć — ani rusz! Drzwi zasypane śniegiem. Byliśmy pogrzebani w zaspie we dwóch z moim towarzyszem podróży. Popatrzyłem na niego. Miał wygląd człowieka zupełnie bezpiecznego. To mnie oburzyło.

— Jesteśmy zasypani! — krzyknąłem.

— A tak — najspokojniej odpowiedział. — Cóż to szkodzi?

— Co szkodzi?! Toż tu przyjdzie zginąć w tym dyabelskim zatrzasku.

— Nie sądzę — on na to znów najspokojniej.— Do dwóch tygodni nas odkopią!

— Ależ my tymczasem pomrzemy z głodu!

Potrząsł głową z uśmiechem.

— Nie, przynajmniej co się mnie tyczy. Ja już jakoś wytrzymam, bo pana zjem i basta!

— Jak to niby? — pytam blednąc.

— Dla mnie to rzecz zwyczajna. Jestem ludojadem.

Mrowie przeleciało mnie po plecach. Ze łzami prawie odparłem:

— Zapowiadać człowiekowi pod zaspą śnieżną, że się go zje, jest niewłaściwym żartem, mój kochany panie!

— Ależ ja nie żartuję. Przekona się pan o tem, bo pana zjem.

Mówiąc to, oblizał się, patrząc na mnie. Ja zaś począłem oglądać się za ratunkiem.

— Nadarmo, panie kochany, chciałbyś ruszyć się stąd i wołać o pomoc. Jestem silny i nim usta otworzysz, zamknę ci je na zawsze. Mam z sobą nóż, nawet topór, to mi wystarczy, by pana poćwiartować. Uspokój się pan, to trudno. Niegodnem jest mężczyzny rozpaczać, lub prosić o litość, gdy wyrok już niecofniony.

Mowił to zresztą łagodnie, uśmiechając się. Naraz mlasnął językiem i poklepał się po brzuchu.

— Pan będziesz mi smakował — rzekł z ukontentowaniem. — Naprzód zjem pańskie nerki. Mam z sobą rondelek, usmażę je, będzie przysmak wyborny.

Zaczął grzebać w kuferku; wydobył sól, pieprz, musztardę Uśmiechnął się przyjaźnie:

— Wszystko dla pana.

W milczeniu. pełnem zgrozy, westchnąwszy ciężko, wyciągnąłem nogi przed siebie.

Ludożerca zawołał:

— Usuń pan nogi, bo pobudzasz tem mój apetyt! Czy pan nie wie, że ludojadowi nie pokazuje się nóg? Nie masz pan na to mózgu?!

— Mam...

— Nie mówże pan u licha, że masz mózg, bo natychmiast rozbiję ci czaszkę, jak wielkanocnemu prosięciu i zjem mózg!

Skuliłem więc nogi pod siebie, wdziałem czapkę na głowę, żeby mu nie powiększać apetytu.

— Gdzie się pan nauczyłeś ludzi jadać? — zapytałem nieśmiało.

— U dzikiego dahomejskiego króla, mój panie. Byłem w tym kraju przed laty. Tam się przekonałem, że człowiek jest znacznie smaczniejszy, niż najlepiej karmiona świnia.

I opowiedział mi całą historyę swego pobytu u dzikiego króla.

Ale słuchający starego pułkownika nie dali mu jej dokończyć:

— Lecz jakże się skończyła ta przygoda z ludojadem na zasypanym śniegiem pociągu?

— Jak? Bardzo naturalnie — odparł pułkownik. — Ludożerca nie był tego dnia jeszcze głodny. Dwie doby przesiedzieliśmy razem, podczas których ciągle musiałem mu opowiadać, dla rozweselenia, różne śmieszne historye. Tak minęły dwa dni i dwie noce. Na trzeci dzień...

— No i cóż na trzeci dzień?

Pułkownik westchnął, machnął ręką i rzekł:

— Ha, głód nie ciotka! Na trzeci dzień — zjadł mnie!!

Całe towarzystwo aż spłakało się ze śmiechu.

— Jak kłamać, to już dobrze kłamać — myślał zapewne ów rosyjski pułkownik, opowiadając to swoje nibyto zdarzenie.

Wszyscy słuchali z zaciekawieniem starego jenerała, który ciągnął opowiadanie bez zająknienia, a gdy skończył, wybuchnęli śmiechem, choć niejeden w duchu był zły sam na siebie, że tak święcie wierzył staremu łgarzowi.

ŚMIERĆ.

(Opowiadanie myśliwego).

— Melduję panu — rzekł do mnie pewnego dnia zimowego stary mój leśniczy Wawrzyn — melduję panu, że dzisiaj będzie czyjaś śmierć.

Znałem Wawrzyna dobrze, więc wiedziałem, że wszystko lubi przesadzać, i. jak to mówią, z igły robić widły, ale mimo to zdziwiła mnie jego dzisiejsza przepowiednia.

— Z czegóż to Wawrzyn wnosi, że będzie dzisiaj czyjaś śmierć?

— Wiele rzeczy to oznajmuje — odparł leśny — a najpewniejszym znakiem to, że na naszej stodole usiadło stado wron i kraczą przeraźliwie.

— Ech! bzdurstwa — powiadam — wrony codzień kraczą, a nikt nie umiera.

— To nic, panie — powiada Wawrzyn — ale przy wyrębie w borze, tam gdzie leżą kupy gałęzi, coś chrapie i stęka niemiłosiernie. Zeszłego roku, gdy w tem miejscu tak samo stękało i chrapało, umarła w ten sam dzień stara Obolina.



— Umarła, bo stara była i czas jej przyszedł — ja mu na to — ale nie dlatego, że tam w borze coś chrapało i stękało.

— Niech tam pan mówi co chce, bo panu wolno — odparł uparty Wawrzyn — ale ja się przekonać nie dam, bo śmierć być musi.

Już miałem kazać zabierać się uparciuchowi od siebie, gdy nagle przyszła mi doskonała myśl do głowy. Udałem, że wierzę po części w jego bajdy i poleciłem mu, aby co tchu kazał mojego czarnego konia osiodłać a jemu zaś aby wyprowadzono gniadego również ze stajni. Mimo mojego stanowczego polecenia, Wawrzyn nie spieszył się z odejściem; oczy zaszły mu łzami i zdawały się błagać, abym nie ruszał się z domu, gdyż właśnie ta, przewidziana przez niego śmierć mnie właśnie spotkać może. Widząc jednak z mej twarzy, że wszelkie odradzania na nic się nie zdadzą, wyszedł powoli z pokoju.

Tymczasem ja co tchu począłem się sposobić do drogi. Do strzelby w obiedwie lufy założyłem naboje z kulkami, a do torby myśliwskiej przygotowałem ich większy zapas. W tej chwili podprowadzono mojego wierzchowca pod ganek a tuż za nim jechał Wawrzyn na gniadoszu.

Ja tymczasem zapomniałem już zupełnie o przepowiedni Wawrzyna a byłem tylko zajęty myślą, aby coprędzej pognać w las i pieścić się jego szumem i lecieć z wichrem po białej śnieżnej pościeli.

Myśli moje przerwał jednak Wawrzyn pytaniem:

— Proszę pana a dokąd jedziemy?

Świeży, mroźny wiatr lutowy podziałał na mój umysł, dodał mu jakiegoś dziecięcego, psotliwego humoru, więc odparłem:

— Jedziemy szukać śmierci, która chrapie i stęka w borze!

Przeżegnał się Wawrzyn pobożnie, jakby chcąc odpędzić złe od moich słów, a potem dodał:

— I nie wódź nas na pokuszenie... ale ja tam nie pojadę.

— Jak chcesz, tak rób... do widzenia!... — rzekłem i ruszyłem ku bramie.

Tuż za mną jechał Wawrzyn i mruczał przez drogę:

— Mówiąc, że ja tam nie pojadę, tom myślał, że sam nie pojadę... myślałem, że i pan nabierze rozumu i na pewną zgubę nie pójdzie... Ale teraz inny świat, inni ludzie... Jakby to było, żeby pan narażał życie swoje a tymczasem Wawrzyn szedł do ciepłej izby i spoczynkowi się oddawał, gdy jego pan w niebezpieczeństwie.

Początkowo nic nie odzywałem się do Wawrzyna, gdy jednak byliśmy coraz bliżej celu, począłem wypytywać się go o miejsce owego chrapania. Wawrzyn, choć niechętnie, ale począł mnie objaśniać dokładniej i w ową stronę kierować.

Dzień był mroźny, cały ubrany w białą barwę: na dole śnieg srebrzysty, a w górze mgła zimowa. Jedynie las ciemny odbijał od tej białości.

Jechaliśmy dobrą godzinę zanim dotarliśmy do owego miejsca złowieszczego. Stanąwszy kilkadziesiąt kroków od owej kupy chrustu, usłyszałem rzeczywiście w niej jakieś stękanie i charczenie. Ciarki po mnie chwilowo przeszły, ale wnet się uspokoiłem, gdyż nabrałem przekonania, że w chruście dzik obrał sobie legowisko.

Nie chcąc strzelać bezcelowo, poleciłem Wawrzynowi, aby podjechał do chrustu i wypłoszył istotę chrapiącą w nim. Popatrzył biedak z wyrzutem na mnie, gdyż chrapanie owo było tak do ludzkiego podobne, że najwprawniejszy myśliwy trudno miałby je odróżnić, — ale posłuszny, uczyniwszy znak Krzyża świętego, zbliżył się ku złowieszczemu miejscu.

Wtedy chrust zaczął się podnosić, a po chwili ukazała się z niego ogromna głowa dzika. Ucieszony, że spełniły się moje przewidywania, wziąłem go na cel i wypaliłem raz i drugi. Strzały były celne, lecz nie śmiertelne. Raniony, zapewne lekko, zwierz rzucił się na konia Wawrzyna i powalił go na ziemię swoim rozmachem a potem pomknął, jak strzała, szeroką drogą leśną.

Zamach na Wawrzynowego konia był zgubą dla dzika, gdyż pozwolił mi nabić powtórnie dwururkę. Popędziłem za okazałym odyńcem, a zmierzywszy się dobrze, powaliłem go od następnego strzału.

Zsiadłszy z konia, przekonałem się, że pierwsze strzały, jakkolwiek celne, porysowały tylko grubą skórę zwierza, dopiero trzeci, który ugodził go w samo oko, położył kres jego życiu.

Tymczasem nadjechał i Wawrzyn a mina jego była niemniej tryumfalna, jak Napoleona po największem zwycięstwie.

— A nie mówiłem — były jego pierwsze słowa — że będzie śmierć i jest śmierć!

Od tej chwili wszystkim przepowiedniom Wawrzyna, nawet najnieprawdopodobniejszym, wierzę zawsze. *Antoni St. Bassara.*

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

Rozmowa wkrótce weszła na inny tor, a mianowicie: jak tu rządy objąć i wszystko po myśli urządzić? Starosta upatrywał w tem wiele trudności a najpierw opór ze strony Padygi. Ożga twierdził przeciwnie — wedle jego zdania trudności te były urojone.

— Wyślemy grabarzy po ciała podczaszostwa, pogrzebiemy je ze czcią należną a potem... JW. pan żadnych przeciwieństw nie napotkasz.

— Ty na wszystko masz sposób i wytłumaczenie. Wiesz Ożga, że czasem mądrze zagadasz.

— Nie darmom świat zjeździł i chlebów z rozmaitych pieców próbował. Bywał człek na wozie i pod wozem... trafiało się różnie...

— Ano, skoro panowanie mam tu brać, zawołajże mi tu Padygi — przerwał mu starosta. — Od tego orzecha rozpocznę. Zawołaj, niech przychodzi coprędzej.

Niedługo potem wraz z Padygą wrócił, który w swem mieszkaniu oczekiwał z niecierpliwością Zbigniewa.

— Siadaj waćpan — poważnie rozpoczął pan Łukasz. Ważnych wiadomości mam ci udzielić.

— A gość wasz, panie starosto? — zagabnął, przerywając, Padyga.

— Właśnie ten gość wiadomości mi dostarczył, które waćpanu oznajmić muszę. Oświadczam naprzód, że od tej chwili ja tu panem w Stepanowie, jako też we wszystkich posiadłościach mego ś. p. brata. Rozumiesz waćpan?

Zatrzymał się, aby obaczyć, jakie to sprawi na Padydze wrażenie. Ten głową przecząco poruszył.

— Niezupełnie, panie starosto!

— Owóż dowiedz się, że podczaszy i jego cała rodzina morem tknięci, zmarli, co mnie właśnie doniósł niejaki Karski, który oczyma własnemi zwłoki oglądał.



Rozmowa wkrótce weszła na inny tor.

— Pan starosta nie rozumiałeś, co ów Karski mówił — odparł z zimną krwią Padyga. — Ja wiem, że panem na Stepanowie i wszelkich posiadłościach po ś. p. podczaszym jest do śmierci panna Aniela Hryniecka, rodzona podczaszego córka.

Niespodziane to oświadczenie zbiło z tropu pana Łukasza, poczerwieniał, na Ożgę znacząco spojrzał.

— Skąd waćpan o tem wiesz? — syknął wzburzony.

— Wiem od tegoż samego pana Karskiego, który mi o całem nieszczęściu rozpowiedział.

— I o tem, że Aniela żyje?

— I o tem, panie starosto.

— Ależ to nie może być, mnie co innego mówił! — czelnie zawołał pan Łukasz.

— Ja na własne uszy to samo słyszałem — wtrącił Ożga.

— Panie starosto — przerwał Padyga oburzony — godziż się tak postępować? Ty, rodzony brat podczaszego, zamiast ratować sierotę, chcesz ją zostawić w nieszczęściu, byle spuściznę zagarnąć. Gdzie sumienie? Gdzie serce, starosto? Toć krzywda sieroca grzech ciężki.

W tej chwili Ożga niepostrzeżony wymknął się z komnaty.

— Co mi waćpan za androny prawisz? Zawsześ mi przeczył i dzisiaj też kręcisz licho nie wie jak... Anielka zmarła, dowody na to mam.

— Przekonawszy się, ustąpię, wiedz jednak, mospanie starosto, że dopóki jasnych dowodów albo sam nie znajdę, albo waszmość mi nie pokażesz... panem tu ja, zastępca, jak na teraz, panny podczaszanki...

— Jakiżeś mi waćpan rygorzysta! — z przekąsem bąknął pan Łukasz, mnąc w szerokiej dłoni połę żupana. — Wojnę mi wypowiadasz?

— Bronię sieroty od krzywdziciela — odparł spokojnie Padyga.

— Kogo krzywdzicielem nazywasz? kogo? — buchnął gniewem Hryniecki. — Pokażę ci, co znaczysz teraz. Obaczysz! Ja tu panem! Słyszysz, ty, sługo jeden! Ani mi waż gadać więcej.

— Właśnie że mówić będę — nieulękły, z podniesioną głową przerwał Padyga. — Mówić będę, a ty, starosto, wysłuchać mnie musisz. Wiedz, żem przeczuł co zamyślasz, jaki zamiar uknujesz, skoro nieszczęsną nowinę odbierzesz. Znam cię dobrze od tylu lat, patrzyłem na wszystkie twoje czyny, panie starosto. Jesteś człek bez serca, bez czoła, zdolny do wszystkiego, aby korzyść otrzymać. Krzywdziłeś ludzi niemało, poczynając od rodzonego brata, a teraz chciałeś i pozostałą po nim sierotę wywłaszczyć, samemu zagarnąć wszystko. Nieprawdaż, miły starosto.

— Milcz, bo cię zaduszę, ot temi rękami...

— Nie lękam się ciebie, panie starosto i skończę, com zaczął. Chcę ci jeszcze powiedzieć, że mógłbym cię za to przed sądy ciągnąć, gdzieby cię na wieżę skazano. I Bóg mi świadkiem, gdybyś nazwiska ś. p. podczaszego nie nosił...

Nagle zachwiał się, umilkł... Ożga powrócił z trzema olbrzymimi drabami, z tyłu zaszedł zapalającego się coraz więcej mówcę, pochwycił i również jak Zbigniewa skrępowawszy, do znajomego już nam loszku zanieść rozkazał. Zanim się opamiętał starosta, już Ożga stał przy nim z miną tryumfującą, odprawiwszy drabów.

— J. W. pan starosta mi przebaczy, żem się śmiał rozrządzić, ale.. mus był, czego JW. nie zaprzeczysz.

— Łotr — sapał Hryniecki. — Mnie... mnie przed sądy pociągnie. Dam ja jemu sąd!...

— Tymczasem sam na wyrok zaczeka — szyderczo podchwycił Ożga.

Starosta spory dzbanuszek cynowy po brzegi winem nalał, duszkiem go wychylił, wąsy garściami rozgarnął i odsapnął.

— Wiesz, co mi ten łotr nagadał? — rzekł po chwili. — Beształ mnie jak ostatniego, nitki poczci-

wej nie zostawił... zaprzeczał mi prawa do spuścizny, wreszcie sądami zagroził. Słyszysz?

— Może JW. pan być teraz spokojnym. Padyga dla nas nie straszny.

— W porę się zjawiłeś. Ostatnia pasya mnie porwała. Hm... łotr twardy, jak żelazo. Niema rady, wisieć musi!

— JW. pan pozwoli, że słówko rzeknę za nim.

— Ano?

— Obejdzie się bez szubienicy. Szkoda fatygi. Pójdzie stąd precz sam, za to JW. panu ręczę.

Przysunąwszy się do starosty, jął mu żwawo coś rozpowiadać, co chwila ręce zacierając.

— Dyabeł chyba jesteś, nie człowiek — zakonkludował starosta, któremu podczas opowiadania twarz do spokojnego wróciła wyrazu. — Masz olej we łbie, jako żywo. Ano... na ciebie się zdaję we wszystkiem. Myśl, rządź, radź, ufam ci, jak sobie samemu.

Za kolana objął faworyt swego pryncypała, który go podniósł i uściskał serdecznie. Usiedli zatem obadwaj, poczęli gorącą rozprawę głosem przyciszonym.

Wstrętny przedstawiali widok ci dwaj łotrowie, zamyślający jakąś niepoczciwość szpetną. Twarze ich gorączkowe rumieńce oblały, oczy się skrzyły złowrogo, uśmiechy koszlawiły usta. Ożga w rozmowie rej prowadził, starosta więcej słuchał, przytakiwał bądź słowem, bądź ruchami a znać było, że jak jeden tak drugi związani byli teraz wspólną myślą, łączącą ich obydwóch.

Wybiegł Ożga z komnaty, na ile mu tusza pozwalała, szybko.

Starosta, zostawszy sam, znowu dzbanek napełnił, wychylił, jął stąpać ciężko, mrucząc pod nosem coś na kształt śpiewu. Siadł potem w fotelu, napój rozmarzał go powoli.

— Łotr... obwieś... — bełkotał do siebie, kiwając olbrzymim łbem. — Pokażę ja ci sądy, nicponiu. Anielka? Co mi Anielka? Kaduk ją bierz... Zmarła i kwita... Hm... ja tu pan... ja... do ciężkiego licha, a Padyga...

Z temi słowami usnął, wsparty rękoma o stół.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KIEDYŻ?...

Kiedyż, ty Polsko, znów nam zajaśniejesz?
I kiedy zrzucisz twój kajdan okrutny?
Którym cię skuto, przed tak wielu laty,
Którym cię skuto w on dzień dla nas smutny.

Kiedyż znów się przystroisz w pełne chwały blaski?
I kiedyż ujmiesz berło w swoje dłonie?
Kiedyż rozwiniesz swój sztandar wolności,
A król-Polak zasiądzie na twym polskim tronie?

O! nie wstanie nam Polska, o bracia kochani,
Gdy nas tak ciemnota nękać będzie dalej.
I nie prędko nam słońce wolności zaświeci,
Gdy w nieuctwie będziemy, tak jak dotąd spali.

Lecz nie, o bracia, wzmacniajmy ogniwa,
Krzepmy nasze dotychczas uśpione umysły,
A wstanie Polska potężna i żywa,
A kajdany zatopim w nurtach starej Wisły!

Jan Doliński z W.



MACIEK BZDURA GADA:

Z nasem prefesurem tośmy się okrutecnie polubili. Jak ino mawa cas, to przychodziwa do siebie i raz on mnie ucy, a drugi raz ja jego ucę, bo co on wie, tego ja nie wiem, a co ja umię, tego on nie umi.

W tamtą niedzielę przychodzę do prefesura a on się mnie pyta:

— Wis ty Maciek, co to jest wół?

— A no wół — odpowiadam — to jest wół. Jest to takie same zwirze domowe, jak kura, kacka, pies, koń i mój gospodarz. Jak wół jest dzieckiem i nie ma jesce rozumu, jak moja gospodyni, to nazywa się cielęciem. Wół ma pięć nóg, z których śtyrech potrzebuje do chodzenia, a jednej do oganiania się z much i ta nazywa się ogonem.

Wół jest mądrem stworzeniem, bo się nigdy nie zeni, a bez to robi zawsze, co mu się zywnie podoba. Póki wół jest jesce dzieckiem, to mięso z niego nazywa się cielęciną i jest bardzo dobre, póki się nie zaśmierdzi. Gdy ciele jest rodzaju babskiego, to nazywa się jałówką i wychowuje się na krowę. Poniewaz wół nie daje mleka, więc musi być krowa, którą Pan Bóg stworzył na to, aby duzo rycała i z tej przycyny jest całkiem podobna do mojej gospodyni.

Krowa jest zwirzęciem bardzo uzytecnem, jezeli daje mleko bez wody, a przytem bardzo mądrem, bo la gospodyni daje mleko bez wody a na sprzedaż napół z wodą.

Krowa jest pozytecniejsa od wołu, bo daje nam mleko, masło, bryndzę i ser śwajcarski a wół skąpy, nic z tego dać nam nie chce. Wszyćko co krowa wydaje ze siebie jest bez wyjątku smacne i zdrowe. Casem się trafi krowa nieucciwa, to zamiast masła daje kunerol, margarynę, a nawet tłucone zimiaki. Ale to tylko wtedy, jak gospodyni mają to niść na sprzedaż a nie na własny pozytek.

Krowa jesce i la tego jest pozytecniejsa, ze od niej mozna się dochować cieląt a od wołu to ani za sto lat nie dochowa się ani jednego.

Za to ze skóry wołowej moznaby zrobić buty i chodzić w nich długo, byle ino sewcy za nią tak nie darli i skóry w butach nie podcinali. Ale skóra wołowa nie jest przydatna do pisania, zwłasca la bab, bo jak się która rozgada, toby tego na wołowej skórze nie spisał.

Z tego wszyćkiego wynika, ze z wołu moznaby nawet zrobić osła, inoby mu trza utrącić rogi, przyprawić dłuzse usy i zrobić naprzykład posłem do parlamentu takiem co duzo rycy a nic nie robi.

Z wołu i krowy mozna więc mieć różnorakie pozytecności, ale ino pod tem warunkiem, jak się woły i krowy ma. La tego tez moja gospodyni scęśliwsi odemnie, bo juz o gospodarzu nie chcę gadać, bo mi ich zal.

Dżuma grozi Europie.

Jak donosiliśmy, »Czarna śmierć« w Azyi sroży się w sposób niepodobny do opisania. Rządy chiński i rosyjski są wobec dżumy zupełnie bezradne. Wobec tego Europa jest narażona na wielkie niebezpieczeństwo zawleczenia dżumy. Rząd rosyjski chwycił się radykalnego środka i pali wszystkie domy i osady, w których pokazuje się dżuma. W północnej Mandżuryi umiera według doniesienia tysiąc ludzi dziennie na dżumę.

Jedna z gazet rosyjskich zamieszcza korespondencyę z miasta chińskiego Fudziau, pisaną przez dwanaście osób, którym wypadło jechać przez to miasto. Piszą oni tak:

Zaraz na pierwszej ulicy ujrzeliśmy o kilka kroków przed sobą 7 trupów chińskich, nad któremi w niemem milczeniu stało 30 do 40 Chińczyków. W odległości kilku kroków po obu stronach ulicy leżało jeszcze kilka trupów. W dalszym ciągu ujrzeliśmy widok następujący: Jakiś Chińczyk, sprzedający orzechy, znajdował się widocznie w konaniu, zwymiotowawszy bowiem kilkakrotnie na towar swój, oddał ostatnie tchnienie. Chińczycy w naszych oczach najspokojniej brali orzechy i jedli je, niektórzy napełniali sobie niemi kieszenie. Z pobliskiej chaty wyniesiony został na pół martwy Chińczyk i rzucony tuż na ulicę. Na pytanie nasze, zwrócone do policyanta chińskiego, dlaczego nie wyda jakich zarządzeń, odpowiedział najspokojniej: »A wam co do tego?« Nad brzegiem Sungari taki sam widok; leżą bez żadnego przykrycia dwa trupy, a o kilka kroków dalej jeden, przykryty do połowy. Dwa psy wydzierają sobie głowę, ptaki oskubują kości. Obraz był tak przerażający, że wszystkie prawie jadące z nami kobiety zemdlały. Jadąc dalej ku przystani, zobaczyliśmy 18 dołów z trupami, w krzakach, po obu stronach drogi. Ogółem naliczyliśmy po drodze 36 trupów.

Urzędnik miejski w Charbinie, Dobrzański, widział również sceny przerażające, które tak opisuje: »Na jednej z wysp na rzece Sungari ujrzałem w odległości 30 do 40 sążni od zabudowań mieszkalnych gromadę psów, obdzierających obnażone zwłoki Chińczyka. Z wyjątkiem głowy, górnej cześci tułowia, wszystko już było ogryzione. Po drugiej stronie wyspy ujrzałem nieprzykrytą skrzynię, a wewnątrz skurczone zwłoki Chińczyka. Trupy napotkać można było co kilka kroków. Na wiosnę, gdy lody puszczą woda uniesie trupy, roznosząc dalej straszną zarazę«.

Inna gazeta rosyjska otrzymała od jednego z mieszkańców Charbina, stolicy Mandżuryi, następujący list rozpaczliwy: »Mnie, rzuconemu na daleki Wschód, chciałoby się zawołać do was, panowie, czujących się bezpiecznymi w oddali: pomóżcie! Posłuchajcie, co się dzieje w dalekiej Mandżuryi. Trupami zasiane, pola, ulice, rzeki. Ciemni Chińczycy nie są w stanie pojąć rozmiarów niebezpieczeństwa i istoty choroby. Zamilczając o chorych, ukrywają trupy, albo wyrzucają je psom na pożarcie, na ulicę i do rzek. Na wiosnę trupy, rzucone na lód, uniesione zostaną do morza. Walka z epidemią stać się winna sprawą całego świata cywilizowanego, związanego z Mandżuryą interesami handlowymi. Wraz z pszenicą otrzymać stąd możecie śmierć.

Korespondent dziennika »New York Herald« donosi z Charbina, że rozpoczęto tam palenie zwłok ofiar dżumy. Trumny ułożono w 4 warstwach, na wierzchu zaś umieszczono trupy, których wogóle do trumien nie włożono. Wszystko to oblano naftą i podpalono. Widok tego palącego się stosu był okropny.

Z TYGODNIA.

Koncesye szynkarskie. »Gazeta lwowska«, która jest urzędowym dziennikiem namiestnictwa, ogłasza zestawienie nadanych koncesyj szynkarskich i rozstrzygniętych rekursów. O koncesye szynkarskie wniesiono podań 33.393, z tych uwzględniły starostwa 9.687, z których 7.023 przypadło na dotychczasowych szynkarzy, przeważnie żydów, 235 na właścicieli browarów i gorzelń, a reszta na inne osoby, przeważnie katolików. Przeciw rozstrzygnięciom starostw wniesiono do namiestnictwa 14.682 rekursów, mianowicie 1.126 rekursów wniosły gminy, a 13.556 pojedyncze osoby, w tem 6976 dotychczasowych szynkarzy żydowskich, którzy koncesyi nie otrzymali. Namiestnictwo przychyliło się do 99 rekursów gmin i 915 rekursów innych osób, z czego najwięcej, bo do 741 rekursów dawnych szynkarzy.

Rusini skarżą! Pisma ruskie wytoczyły polskim, krakowskim i lwowskim proces o obrazę czci za to, że dzienniki polskie powtórzyły za największą gazetą polską, »Kuryerem Warszawskim«, iż tak gazety jak i stowarzyszenia ruskie pobierają od naszych największych wrogów, Prusaków, wielkie pieniądze na to, aby szczuć Niemców austryackich, ruskie chłopstwo a nawet Słowian przeciw nam. Wiadomości te umieścił w »Kuryerze Warszawskim« szpieg pruski, nazwiskiem Rakowski i podając te informacye wyliczył wielką ilość nazwisk Rusinów, którzy te pruskie łapówki mają brać. Polscy oskarżeni redaktorowie dzienników chcą Rusinom udowodnić, że ciągle idą ręka w rękę przeciw nam z naszymi wrogami Prusakami i przytaczają na to szereg dowodów. Trudno jednak udowodnić, że brali oni pieniądze i ile już złota pruskiego wzięli, bo przecież jeżeli kto jest takim złym i bierze pieniądze na taki podły cel, to bierze tak, żeby go nikt nie widział.

Zajścia na uniwersytecie krakowskim. Już w poprzedniej »Roli« donosiliśmy o wielkich awanturach na uniwersytecie krakowskim, które wywołali żydzi i socyaliści. Przypomnimy powód tych awantur. Przed kilku miesiącami rozpoczał na uniwersytecie wykłady ksiądz Zimmerman. Mówił w jaki sposób wieśniacy i robotnicy powinni gospodarować, w jaki sposób mają się wiązać w rozmaite spółki gospodarcze, aby się wzmocnić, lepiej się mieć i w ten sposób wybrnąć z długu i wyleźć z kieszeni żydów. Profesor Zimmerman doskonale zna takie włościańskie i robotnicze organizacye gospodarcze, bo je w Poznańskiem sam, za przykładem ś. p. Wawrzyniaka tworzył i pod jego kierunkiem bardzo dobrze one kwitnęły i wiele dobrego ludności zrobiły i robią.

Ale za to żydom i socyalistom dokuczyły te spółki okrutnie. W której wsi lub mieście założono taką spółkę rolniczą czy sklep, to żyd nie miał tam już nic do roboty, nikt do niego już nie poszedł po nic i po niejakim czasie zabierał manatki i w świat! do Ameryki. Te spółki szczególnie po miastach zabierały także socyalistom sporo obałamuconego robotnika i dlatego to taka wielka złość socyalistów do nich. Teraz sprowadzono ks. Zimmermana, aby pouczał kleryków i innych studentów o tych spółkach i jak się je zakłada, aby gdy zostaną wyświęceni i pójdą na wieś, zakładali takie spółki i podnosili lud.

Za przykładem żydów i socyalistów krakowskiego uniwersytetu poszli żydzi i socyaliści politechniki i uniwersytetu lwowskiego, a nawet poruszyli się się oni na uniwersytetach w Wiedniu, Gracu i Pradze. Przyszło wkońcu do tego, że uniwersytet krakowski, politechnikę i uniwersytet lwowski zamknięto. Żydzi twierdzą, że chodzi im o wolność słowa na

uniwersytecie a przecież oni nie dają mówić księdzu Zimmermanowi i gwałcą tę wolność. Tak to żydzi i socyaliści boją się, żeby nasz chłop nie zmądrzał i nie poczuł się mocnym, boby wtenczas było z nimi krucho.

Ks. Metropolita Szeptycki złożył godność wicemarszałka Sejmu galicyjskiego. Następcą jego zostanie ks. Czechowicz, biskup ruski z Przemyśla. Metropolita ruski bawił w tych dniach w Wiedniu a gazety przypisywały jego tam pobytowi znaczenie polityczne, ale ks. Szeptycki przeczy temu.

(K. Z.) **Nowa kolej na Śląsku**. W dniu 2 lutego została otwarta i poświęcona przez Przewielebnego ks. dziekana, Antoniego Olszaka, ze Strumienia, nowa kolej miejska, prowadząca z dworca kolei północnej w Chybiu do miasteczka Strumienia, położonego tuż przy samej granicy pruskiej. Już od dłuższego czasu czyniło miasteczko Strumień starania, ażeby mogło otrzymać połączenie kolejowe, będąc na uboczu o 5 klm. od kolei północnej, przez co bardzo był utrudniony dowóz towarów do miasta.

Okolica Strumienia jest uboga z powodu częstych wylewów Wisły. Regulacya tejże, która postępuje żółwim krokiem, można wnosić, z czasem, gdy zostanie ukończona, zmieni sprawę na lepsze. Co się tyczy kolei, zauważyć należy, że jest wązkotorowa i że tor bieży po drodze powiatowej, po której i wozy jeżdżą i dużo ludzi chodzi, z tego powodu może być dużo nieszczęśliwych wypadków, bo nieraz jadącemu drogą konie się spłoszą i wywrócą. Są wprawdzie tablice ostrzegawcze koło drogi, ale są niemieckie, a ludność jest rdzennie polska. Tablic z polskim napisem nam nie dają, ale pieniądze chcą, żebyśmy im nosili!

Wydalanie robotników z Prus. W delegacyi austryackiej posłowie podnieśli głos, że Prusaki od jakiegoś czasu wydalają bardzo wielu poddanych austryackich, a w tem najwięcej robotników polskich i przytem ich sekują. Minister spraw zagranicznych odpowiedział na to, że każdemu państwu wolno to robić, co się mu podoba, a inne państwo wkraczać w to nie powinno. Posłowie jednak twierdzili słusznie, że gdy pruscy poddani w Austryi mają wolność długiego pobytu a nawet osiedlania się w Austryi, to należałoby, aby i austryaccy poddani mogli się osiedlać w Prusach. Szczególnie dla Polaków ten zakaz osiedlania się na własnej ziemi polskiej pod panowaniem pruskiem jest bolesny.

Sprawa Ciastoniówny, trzymanej bezprawnie kilka miesięcy w więzieniu pruskiem, zajmowała się we wtorek komisya dla spraw zagranicznych delegacyi austryackiej. Minister Aehrenthal dał wyraz nadziei, że stosunki w przyszłości lepiej się ukształtują, gdyż na przedstawienia ambasadora austryackiego w Berlinie, kanclerz Bethmann Hollweg udzielił zapewnienia, iż odtąd postępować będzie przy dalaniu z pewną łagodnością. Oby tylko Prusaki dotrzymały słowa!

Awantury w sejmie bośniackim. Przy głosowaniu w bośniackiem sejmie nad przedłożeniem o pocztowej kasie oszczędności, posłowie serbscy niechcąc do uchwał dopuścić, rzucili się na stół prezydenta. Posiedzenie przerwano, a kiedy serbowie opuścili salę podjęto na nowo i ustawę uchwalono pczem znowu powtórzyły się gwałty i hałaśliwe sceny.

Wojownicza Bułgarya. Na tajnem posiedzeniu sejmu bułgarskiego minister wojny oświadczył, że Bułgarya może wystawić w ciągu kilku tygodni gotową do boju armię, liczącą 480000 ludzi i że gotowa jest zupełnie do wojny. Po mowie ministra sejm uchwalił przeznaczyć 4 miliony franków na uzupełnienie składów mundurów wojskowych.

KRONIKA.

Zdrowie Ojca św. Wbrew pojawiającym się tu i owdzie pogłoskom, jakoby stan zdrowia Ojca św. budził zaniepokojenie, gazeta watykańska zapewnia, że Ojciec św. cieszy się zdrowiem jak najlepszem.

(W. K.) **Wieczorek styczniowy na wsi.** Dnia 29 stycznia b. r. t. j. w niedzielę, odbył się w Kraczkowej pod Łańcutem wieczorek, poświęcony rocznicy powstania styczniowego, zakończony przedstawieniem. Wieczorek ten odbył się staraniem p. Franciszka Rąba, kierownika szkoły, i J Sziffera, nauczyciela miejscowego. Wieczorek rozpoczął przemówieniem p. Franciszek Rąb. Opowiedział on całe dzieje Polski porozbiorowej, zastanawiając się dłużej nad wybuchem i przebiegiem powstania. Wkońcu objaśnił sztukę, którą odegrać miano. Po tem przemówieniu wystąpił chłopiec z deklamacyą: »Nie sprzedam ci ziemi«. Po deklamacyi rozpoczęło się przedstawienie. Odegrała młodzież tutejsza sztukę sceniczną p. t: »Dziesiąty pawilon«. Potem wkońcu przedstawiono żywy obraz, podczas którego wygłosił drugi mały chłopiec wierszyk, zaczynający się od słów: »My naród grzeszny«, a na zakończenie muzyka wiejska odegrała kilka pieśni patryotycznych. Czysty dochód z przedstawienia przeznaczono na budowę »Domu ludowego« w miejscu.

(Z. B.) **Wdzięczność uczni.** Dnia 1 lutego na posiedzeniu Rady miejskiej w Jaśliskach, mianowano p. Seweryna Karola Kisielewskiego, długoletniego kierownika 2-kl. szkoły obywatelem honorowym miasta Jaślisk. Pan Seweryn K. Kisielewski był przeszło 30 lat kierownikiem szkoły w Jaśliskach, oprócz nauki w szkole, wolny czas poświęcał dla dobra ludu. Przed 18 laty zawiązał Kółko rolnicze, którego przez dłuższy czas był przewodniczącym, zawiązał także Straż ogniową przed 10 laty, której także był prezesem. Choroba jednak, jakiej nabawił się w swym żmudnym zawodzie, reumatyzm, zabrała go z Jaślisk, a wskutek choroby utracił oko. Gdy jeszcze po jednej słabości nie powrócił do sił, czepiła się go druga, straszniejsza według orzeczenia lekarskiego, rak na języku. Przechodził więc znowu trzy straszne operacye w Krakowie i prawie cudem wyrwał się z rąk śmierci. Dzisiaj cieszy się zdrowiem, zamieszkał w Dobromilu w gronie rodziny, piastując godność prezesa Kasy zaliczkowej. Rada miasta Jaślisk (składająca się prawie cała z jego uczniów) w uznaniu zasług, położonych dla miasta, mianowała go swym obywatelem honorowym.

(L. Ł.) **Niezwykłe wesele** odbyło się w Krasnem, w powiacie rzeszowskim, dnia 26 stycznia. Przed trzema miesiącami poznał się Stanisław M. z Zofią B., a poznawszy zaręczyli i zapowiedzi wyszły. Dnia 26 stycznia przyszli rano do kościoła parafialnego państwo młodzi z gronem gości weselnych. Gdy przystąpili do ołtarza Wielebny ks. St. Siara zapytał Zofię, czy ma dobrą wolę pojąć za małżonka Stanisława. Na to ona głośno odpowiedziała, że nie. Panna młoda uciekła z kościoła do domu, pan młody uczynił to samo. Tam znów ją rodzice nakłonili do małżeństwa i po upływie godziny znów poszli do kościoła. Gdy się ksiądz zapytał powtórnie: »Czy już chcesz, Zofio, tu obecnego Stanisława za małżonka?« — ona odpowiedziała znowu, że »nie«. Ksiądz cierpliwy zostawił im znowu czas do namysłu i kazał przyjść nazajutrz. Przez cały dzień goście weselni bawili się jak zwykle, bo nazajutrz panna młoda już na pewno ślub miała wziąć. Nazajutrz po raz trzeci przyszli do kościoła. Ksiądz na ich widok ucieszył się, sądząc, że się namyśliła i zapytał:

— No, a teraz to już chcesz pójść z niego?
— Nie chcę — była odpowiedź.
— No to idźcie do domu, moje dzieci.

I na tem się zakończyło; ale choć ślubu nie wzięli, przecież się wybawili, zjedli wszystko i wypili, co było przysposobione. Ale już dn. 29 stycznia głosił ksiądz pierwszą zapowiedź pana młodego, lecz już z inną. Oby znów nie miał takiego nieszczęścia!

Straszny pożar nawiedził gminę Sielec w powiecie tarnobrzeskim. O godz. 4 rano dnia 27 stycznia zajaśniała nad Sielcem krwawa łuna, a w krótkim czasie ogień ogarnął 25 zagród włościańskich, zamieniając je w kupę popiołów. Pastwą płomieni padły też konie, bydło i świnie, słowem mieszkańcy mało co wyratowali. Szkodę wyrządził pożar ogromną, gdyż bardzo mało budynków było ubezpieczonych. Dla niesienia pomocy pogorzelcom zawiązał się komitet tymczasowy, na czele którego stoi wójt, Michał Czopek, na jego też ręce, lub na ręce ks. dziekana Szczęsnego Rudnickiego w Wielowsi można posyłać datki dla nieszczęśliwych ludzi, którzy wśród zimy zostali bez dachu.

Płonące korale. Korale prawdziwe były ozdobę ludu wiejskiego od wielu lat, jednak korale wartościowe zostały zastąpione przez korale fałszywe, kauczukowe, które nietylko nie przedstawiają najmniejszej wartości, lecz nawet są przyczyną fatalnych wypadków. Taki wypadek zdarzył się w Niżniowie nad Dniestrem. Przed kilku dniami raniutko wyszła Paraska Jęczowa, żona zarobnika dziennego, do sieni po ser, a że było jeszcze ciemno, wzięła ze sobą świecę. Otworzyła skrzynię, w której na dnie był w garnku ser. Grzebiąc ser do miski, nachyliła się nad świecą tak, że się zajęły kauczukowe korale, (których było 10 sznurów) i w jednej chwili głowa nieszczęśliwej stanęła w płomieniach. Na krzyk nieszczęśliwej ofiary nikt nie przybył, gdyż oprócz dwojga małych nieletnich dzieci nikogo więcej nie było w chacie. Nieszczęśliwa spaliła sobie całą dolną szczękę, całe piersi, uszy, nos i włosy. Głowa przedstawia wielką bezkształtną, spaloną bryłę. Kto wie, czy nie przypłaci tego kobieta życiem.

Gadający pies. Do wielu zalet i zdolności psów, które są najmądrzejszemi zwierzętami, przybywa nowa, ciekawa zaleta. Oto pewien doświadczony leśniczy w północnych Niemczech ma psa do polowania, którego z niezbyt wielkim zresztą trudem nauczył wydawać głos, podobny do ludzkiego i dosyć wyraźnie naśladujący niektóre wyrazy. Wieść o psie, który gada, rozeszła się w całej okolicy, dostała się nawet do gazet niemieckich. Zainteresowani niezwykłym psem przybyli raz do owego leśniczego profesorowie, poświęcający się badaniu życia zwierząt i wobec nich ulubieniec leśniczego imieniem »Don« zdał egzamin z wybornym skutkiem.



Na zapytanie: jak się nazywasz? wydał głos: »Don« i na kilka innych pytań jeszcze ku ich zdumieniu odpowiedział. Nie jest to oczywiście »mowa«, bo tylko człowiek mówi, lecz naśladowanie pewnych dźwięków głosowych, jak to czyni np. papuga, którą łatwo zresztą nauczyć paru wyrazów: tata! lala! mama! Ale że psy w tym kierunku nigdy dotąd zdolności nie okazywały, dlatego owym »Donem« tak zajęli się uczeni profesorowie niemieccy.

(J. T.) **Długowieczność**. Jan Kisiała na Śląsku, zmarł po dwutygodniowej chorobie, przed trzema tygodniami, przeżywszy 99 lat i niespełna pięć miesięcy. Jest to rzadki wypadek tak długiego życia.

Korony jasnogórskie. W ubiegłym tygodniu przyszedł na Jasną Górę do jednego z OO. Paulinów mężczyzna z okolic Bordziłówki na Wołyniu i oznajmił, że korony są ukryte w pewnym budynku w Bordziłówce. Mężczyzna ów nalegał, aby jechać z nim niezwłocznie, w celu odebrania koron i dodał, że korony miał przywieźć do Bordziłówki jakiś cygan z okolicy. Po wysłuchaniu relacyi O. Paulin wezwał, jako świadków, obywateli częstochowskich pp.: Kołakowskiego i Świderskiego, w których obecności nieznajomy powtórzył swoje zeznania. Wówczas zawiadomiono policyę, która wysłała depeszę do Bordziłówki, zapytując o nieznajomego i wiarogodność jego zeznań. Gdy nadeszła odpowiedź twierdząca, wyjechali do Bordzilówki: komisarz policyi, mężczyzna przybyły z Bordziłówki, oraz obywatele Kołakowski i Swiderski. Okazało się, że żadnych koron tam niema.

Uciekł Macoch, czy nie uciekł? Przed kilku dniami jedno z wiedeńskich pism podało wiadomość, o ucieczce Macocha z Piotrkowskiego więzienia. Zaledwie jednak pisma warszawskie zaprzeczyły tej wiadomości, inna gazeta znowu podała, że Macoch przecież uciekł naprawdę, i wyjechał w głąb Rosyi, gdzie wraz z Załogiem przebywa pod opieką rządu. Teraz już nikt nie wie, jak jest naprawdę.

Z pijaka — zbrodniarz. Nauczyciel ewangielickiej szkoły ludowej w Huhrop, Strobusz przez wódkę został zbrodniarzem. — Strobusz był pijakiem nałogowym i żył z sąsiadami swymi w ciągłej niezgodzie. Gdy w sobotę wieczorem 17-letnia Marya Smolińska, córka wdowy Smolińskiej, czyściła chodnik przed domem, usiłował temu przeszkodzić ów nauczyciel, grożąc, że ją zabije. Mimo to dziewczyna czyściła dalej. Nauczyciel wtenczas dobył rewolweru i wypalił dwukrotnie do dziewczyny, raniąc ją w głowę niebezpiecznie. Za niepotrzebnie wypity kielich gorzałki posiedzi z rok w kryminale i utracił posadę.

Wyrodna matka. W Bramfeld pod Hamburgiem posadziła pewna matka swego dwuletniego synka na rozpaloną płytę pieca, tak, że dziecko odniosło straszne poparzenia. Potem rzuciła nieszczęśliwą, z bólu wijącą się ofiarę na łóżko, zamknęła sypialnię i poszła do Hamburga na zabawę. Na krzyk dziecka zbiegli się sąsiedzi, wyłamali drzwi i znaleźli oprócz strasznie poparzonego dziecka jeszcze troje innych dzieci zupełnie zagłodzonych. Dzieci wzięto do przytuliska, a wyrodną matkę po jej powrocie aresztowano.

Żydzi we Finlandyi. Jak traktują żydów w najswobodniejszym do niedawna kraju, o tem możemy się dowiedzieć z gazet rosyjskich. W Finlandyi najmniejsze przestępstwo, spełnione przez żyda, pociąga za sobą jego wysiedlenie. Ale na samo nawet przebywanie żydów w danej miejscowości Księstwa musi pozwolić władza gminna, jakoteż policyjna, a pozwolenie na pobyt musi być odnawiane co pół roku. W takich warunkach nawet ta niewielka liczba żydów, którzy zamieszkują Finlandyę, przechodzi po dwa razy do roku przez kontrolę. Jeśli się który okaże szkodliwym dla ludności, to zaraz: fora ze dwora!

Anarchiści przy robocie i jej fatalne skutki. Anarchiści, nieprzyjaciele ludzkości i wszelkich urządzeń społecznych, którzy — jak z gazet wiadomo — od czasu do czasu jakimś piekielnym czynem, rzuceniem bomby rozdzierającej dziesiątki niewinnych ludzi na ulicach wielkich miast, dają o sobie znać światu — urządzają się bardzo przebiegle, aby mogli wykonywać swe zbrodnicze dzieła. W państwach, gdzie największa panuje swoboda, jak Anglii lub Szwajcaryi, w dużych miastach wynajmują w najludniejszych ulicach mieszkania, gdzie zamieszkują niby porządni i spokojni ludzie. Na drzwiach takiego mieszkania widnieje napis: profesor lub lekarz i nikomu ze sąsiadów na myśl nie przychodzi, że niby to krewni czy goście tego profesora należą do tej piekielnej szajki, która w cichem mieszkaniu, zupełnie pewna bezpieczeństwa, fabrykuje bomby, napełnione środkami wybuchowemi, mogące pozbawić życia wielu ludzi.



Na jednym obrazku widzimy anarchistów przy robocie, jak fabrykują owe bomby, na drugim godło i cel ich życia i pracy: trupią głowę, mającą oznaczać śmierć wszystkiemu; na trzecim okropne skutki rzucenia bomby na ulicy na jakiegoś znienawidzonego dostojnika państwowego. Od wybuchu takiej bomby zazwyczaj ginie kilka osób oprócz tej, na którą była wymierzona, kilkanaście bywa rannych, jeśli znajdują się w blizkości. Takimi zbrodniczymi zamachami niczego anarchiści nie dokażą. Jeśli wykonują zamach na człowieka na wysokiem stanowisku, który władzy swej na złe używa i krzywdzi ludzi — to zabijając przytem i niewinne ofiary, przypadkowo znajdujące się w pobliżu, ściągają na siebie tylko powszechną nienawiść. Zbrodnią nie dochodzi się do poprawy świata. Dzieła tego dokonać tylko może nauka Chrystusowa, gdy przeniknie do każdej ludzkiej duszy, każdego sumienia.

Środek przeciw pijaństwu. Dwa miasta: Kopenhaga i Amsterdam, wynalazły i stosują środek przeciwko pijaństwu, który podobno jest bardzo skuteczny. Skoro policyant spostrzega pijanego, natychmiast woła dorożkę, sadza do niej obywatela, trzymającego się niezbyt pewnie na nogach i odwozi go do pierwszego posterunku policyjnego. Na posterunku lekarz ogląda pijanego, komisarz dowiaduje się, w jakim szynku zabawiał się i następnie odsyła go dorożką do domu. Nazajutrz właściciel restauracyi lub szynku, w której obywatel zatrzymany przez policyanta upił się, otrzymuje za pośrednictwem komisarza sądowego do zapłacenia rachunek lekarza i dorożkarza.

Żywcem w trumnie. W Burż, we Francyi, zmarła w tych dniach 84-letnia staruszka, wdowa Popelowa. Lekarz stwierdził śmierć, włożono więc zwłoki do trumny. Ponieważ jednak miały być przewiezione do grobu rodzinnego do Paryża, obstalowano zatem drugą trumnę cynkową. Nareszcie trumna ta była gotowa. Właśnie blacharz miał nałożyć wieko, aby je zalutować, gdy nagle pozornie zmarła zaczęła dawać znaki życia, a nawet mówić. Co prędzej tedy przeniesiono ją do drugiego pokoju na łóżko, gdzie wkrótce przyszła zupełnie do siebie. Gdyby ocknęła się tylko o minutę później, już wieko trumny byłoby zamknięte nad nią na zawsze. Niesumienny to musiał być lekarz, który o mało co nie pozbawił życia uśpionej staruszki.

Pies go zdradził. Do jednego z paryskich handlarzy starożytnościami zgłosił się elegancki młodzieniec i kupiwszy jakiś przedmiot za kilkanaście koron, po dłuższej rozmowie o dziełach sztuki starożytnej, ofiarował mu swego psa, który się bardzo podobał kupcowi. W kilka dni później do antykwarni zjawił się znowu tenże młodzieniec, tym razem na pogadankę. Po wyjściu gościa kupiec zauważył, że zginęło mu kilka nader cennych pierścieni starożytnych; udał się więc niezwłocznie do komisarza policyi i wyjawił swoje podejrzenie względem nieznajomego gościa. Komisarz policyi wpadł na myśl zużytkowania psa, pozostawionego przez domniemanego złodzieja, udał się więc do kupca i wypuścił psa na ulicę. Pies bez wahania poprowadził komisarza na ulicę Rodier do jednego z domów i zatrzymał się przed drzwiami mieszkania niejakiego Ludwika Karla, tego właśnie eleganckiego młodzieńca. Zrobiono rewizyę i znaleziono ukradzione pierścienie.

Nie boi się zimnej wody młodą panna, nazwiskiem Isacesku, która przed kilku dniami pod Wiedniem płynęła, mimo temperatury 1 stopnia C. wody, a 2 stopni C. powietrza, Dunajem wśród lekkiej kry przez 7 minut.

Przygoda kolejarza. Dość niewesoła przygoda spotkała niedawno temu pewnego zapalacza lamp na kolejach włoskich. Oto gdy na dachu wagonu pociągu pospiesznego zajęty był zapalaniem lamp w przedziałach — pociąg nagle ruszył i odjechał, zanim ktokolwiek spostrzegł opóźnienie zapalacza.

Nieszczęśliwy człowiek przez cały czas jazdy do następnej, bardzo odległej stacyi musiał pozostawać na dachu wagonu. Że położenie jego zgoła nie było przyjemne, łatwo sobie wyobrazić. Tylko rozpaczliwymi wysiłkami zdołał utrzymać się na szczycie pociągu, mknącego w szalonym pędzie wśród mrozu i wichury.



Gdy pociąg dotarł wreszcie na stacyę, biednego człowieka, ciężko chorego z wysiłku i strachu, z trudem zjęto z dachu wagonu i w stanie nieprzytomnym odwieziono do szpitala. Od chwili, gdy go ocucono, mówi bez związku i istnieje obawa, że dostał choroby umysłowej.

Okręty szklane. W Kalifornii budują się obecnie okręty, w których części podwodne są obite nie żelazem, lecz grubem szkłem, przez które można oglądać świat podwodny. Światło, jakie rzuca w głębiny dno okrętu, ściąga doń mnóstwo ryb morskich. Jest to wynalazek nadzwyczaj praktyczny dla połowu ryb.

O życie syna. W północnej Afryce w Marokku, kraju należącym do Hiszpanii, wybuchł bunt tamtejszej ludności. Hiszpańskie wojska wysłane na miejsce, mają trudne zadanie poskromienia dzikich a odważnych wojowników afrykańskich. Zamieszki trwają czas dłuższy, a żołnierz, jak zwykle na wojnie, podlega surowym prawom wojennym. Jednego hiszpańskiego podoficera w mieście Melila posądzono o wykradzenie planów i ważnych papierów wojskowych i — jak na wojnie — skazano bez apelacyi na śmierć. Matka skazanego, która przybyła odwiedzić syna, dowiedziawszy się o tem, nie posiadała się z rozpaczy, znała bowiem jego uczciwość i o niewinności nie wątpiła. Gorąco błagała Boga o ratunek dla ukochanego dziecka i oto — cudem prawie — uratowała syna. Było to w początku stycznia i bawił właśnie w mieście Melili król hiszpański Alfons. Nieszczęśliwa kobieta, gdy na dzień przed wykonaniem wyroku król przejeżdżał konno ulicami w towarzystwie adjutanta, rzuciła się przed monarchę na kolana i z rzewnemi łzami wypowiedziała swą prośbę. Król wzruszony bólem i rozpaczą matki, ułaskawił syna, kazał sprawę raz jeszcze sądowi wojskowemu rozpatrzeć i pokazało się, że zasądzony był niewinny. Złe zamieniło się na dobre i skazany co dopiero na śmierć, otrzymał niebawem z polecenia króla wyższy stopień wojskowy.



Straszny wybuch. Podczas przeładowywania dynamitu z pociągu kolejowego na parowiec »Katherine« w Nowym Jorku, upuścili robotnicy pudło, zawierające 50 funtów dynamitu. Nastąpił straszliwy wybuch, który zmiótł z powierzchni okręt i kilka wagonów, zabijając wielu ludzi. Od siły wybuchu zatrzęsła się ziemia, a gwałtowny huk wywołał dziki popłoch. W całej południowej dzielnicy Nowego Jorku popękały szyby. Odłamki poraniły mnóstwo osób. Murowana część portu jest zniszczona, tak samo dworzec centralny w Jersey. Oprócz parowca »Katherinę« zdruzgotał wybuch jeszcze jedną łódź i trójmasztowiec norwegski »Ingrade«. Pourywane członki załogi zawisły w linach okrętowych. Kilku robotników, porozrywanych w kawały, znaleziono w wodzie. Wybuch słychać było w promieniu 70 kilometrów.

Przeładowywanie odbywało się dotąd zawsze w ten sposób, że po pochyłym pomoście spuszczano zwolna skrzynie, względnie beczki, napełnione dynamitem, przyczem robotnicy uważali, aby beczka nie dotykała się krawędzi i staczała się zwolna. Przy tej robocie zatrudniano przeważnie robotników polskich. Zdaje się, że robotnicy, stojący wyżej, nie przestrzegali ściśle przepisów ostrożności i paki z dynamitem poczęły uderzać o boki i staczać się zbyt szybko, tak, że robotnicy niżej stojący nie mogli już powstrzymać ich. To stało się powodem nieszczęścia, w którem zginęło, niestety, wielu polskich robotników.

Sztuczne powiększanie zwierząt. Miliarder nowojorski, Jan Jakób Astor, wyznaczył nagrodę 10.000 dolarów za wyhodowanie nowego gatunku mieszańca psa z niedźwiedziem. Ze swej podróży eksploracyjnej przywiózł podobny okaz. Zwierzę jest olbrzymie i obdarzone niezwykłym sprytem.

Krwiożerczy szczep. Jak donoszą pisma francuskie, na jednej z wysp afrykańskich, zwanej Burbon, zapadł wyrok w sprawie krwiożerczego szczepu, znanego pod nazwą »Pijących krew«. Miał on charakter sekty tajemnej, a praktyki dokonywane przez jego członków podczas zebrań przechodziły okropnością najdziksze i najkrwawsze rzeczy. Ofiarę ludzką zabijano uderzeniami drąga żelaznego, następnie przecinano nieszczęsnemu gardło i pito krew. Aresztowano ośmiu członków bandy, z których trzech skazano na śmierć, resztę na roboty przymusowe.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pan Poseł Wincenty Witos w Wierzchosławicach: Dziękujemy serdecznie za popieranie »Roli«. Czytelnicy zewsząd donoszą nam o obszernych mowach wygłaszanych przez Pana Posła o naszej gazetce. Z każdej miejscowości po takiej mowie mamy paru nowych prenumeratorów.

Jan Cegaro w Z.: Wysyłamy. Pańska rada (dziękujemy!) dobra i słuszna ale się nie da wykonać; najpierw się robi opaski, daje adresy i nalepia marki a dopiero do gotowego wkłada. Inaczej nie dalibyśmy sobie rady w jednym dniu z wysyłką, a u nas musi iść wysyłanie tak regularnie jak zegarek. — Mateusz Górniak w N. L.: Nie, nic nie wygrane. — Jakób Trębla w K.: Ma Pan numer 2091 a nie 1091. Wysłane 17 grudnia. Reklamujemy do Lwowa do dyrekcyi poczt. — Feliks Rząsa w K.: Żałujemy, ale za tę cenę nie możemy. Trzeba 4 korony. — Antoni Łuszczyński w J.: Reklamacya uzasadniona, wyszlemy w przeciągu tygodnia. — Józef Ptaszek w B.: Już teraz chyba wszystko dobrze? Staramy się każdego czytelnika zadowolić ile tylko możemy. — Franciszek Mikulski w P.: Posyłamy taką jaka wyznaczona i przygotowana. Myślimy, że się spodoba! — Numer 16-ty. Dziękujemy za przyjaźń, bardzo się nią cieszymy. Takich wrogów zaś, o których Pan pisze, nie obawiamy się. Nic nas nie sprowadzi z drogi; dalej pracować będziemy dla oświaty w duchu katolickim i polskim, a bezpartyjnym, jak dotychczas. — Jerzy Tyrna w B.: Na jeden czek można posyłać kilka prenumerat. Jan Biernat w L.: Artykuł Pański przeczytaliśmy z wielkiem zainteresowaniem i uwagą. Myśli w nim wypowiedziane są tak piękne i tak słuszne, że serce rośnie na wiadomość, iż są ludzie we Lwowie, którzy tak czują, jak Pan. Niestety, prawdą to jest, że na duchowieństwo wolno dziś rzucać się lada chłystkowi socyalistycznemu bezkarnie; niestety, prawdą to jest, że wiele bezwartościowych piśmideł rzuca się na te duchowieństwo, a niektórzy posłowie socyalistyczni i niesocyalistyczni jeżdżą od wsi do wsi, zalecając takie szmaty a uczciwe gazety zwalczają. Ale przyjdzie czas, że lud nasz nabierze oświaty i takich fałszywych przyjaciół będzie pędził ua cztery wiatry. Z obawy przed konfiskatą artykułu całego nie umieścimy, ale w każdym razie z myśli w nim zawartych skorzystamy. Za zaufanie dziękujemy. — »Arka«: Wiersz p. t. »Do swoich« otrzymaliśmy. — Józef Jarmuła w Z.: Wiersz p. t. »Wychodźcom do Prus« otrzymaliśmy i wkrótce go umieścimy. — Wojciech Frąnc w K.: Opuszczony w druku: »i ćwierć tyle« stąd wynikło nieporozumienie. — Józef Czachor w M.: Kalendarzy już nam brakło. Rocznik »Roli« z 1910 r. ładnie oprawny kosztuje 4 korony, nieoprawny 3 korony. — A. Smogąrzewski w S.: Niestety, dokładnego adresu ani Maciek, ani redaktorzy nie znają. — Adam Zieliński z M. z.: Maciek za pozdrowienia dziękuje. Koło jego przyjaciół coraz bardziej się powiększa. — Józef Kubielas z L.: Owszem »Piosnki z naszej wioski« Jantka z Bugaja możemy wysłać — kosztują koronę, ale na przesyłkę trzeba dołączyć. Jest też drugi zbiór wierszy tegoż autora p. t. »Blade kwiaty z wiejskiej chaty« — cena księgarska 3 korony. — Wacław Tomaszewski w P.: Maciek ucieszony, że Pan obiecuje być na jego weselu. Ot, on sobie tylko taki Maciuś, udaje tylko naiwnego, ale rozum ma. Wskutek tego wszyscy rozsądni ludzie pokochali go bardzo, a tylko niespełna rozumu wojować chcą z nim, jak znany Don Kiszot hiszpański z wiatrakami. Zagadka rysunkowa zakosztowna do wydrukowania. Dziękujemy za życzliwość. — Piotr Lipowiak w L.: Wszystkie cztery konkursy trwają już i przedłużamy je do końca roku wskutek wielu życzeń. Artykuły, jakie tylko Pan posiada, prosimy przysyłać, gdyż wszystkie prace Pańskie chętnie drukujemy, a że nie zaraz po nadesłaniu, to tylko dlatego, że chcemy różnych autorów prace zamieszczać. Prosimy przysłać, gdyż możeby do której dały się narysować obrazki. — Franc. Żebrok w B.: Za zachętę do dalszego gadania i za pozdrowienia Maciek dziękuje. — Kazimierz Kowalski w K.: Zagadki dobre. — Rudolf Kula w M. K.: Maciek dziękuje, ale czy to tak łatwo teraz o dobrą? — Józef P. z O.: Wierszyk schowaliśmy, gdyż jeszcze wesela nie będzie. — Kędzierski Piotr: Wiersz: »Do Maćka Bzdury« dobry, więc we właściwym czasie sko-

rzystamy. — Jan Łącki w O.: Jeżeli dochodzi to niech zostanie, bo szkoda kosztów na nowy adres; gdyby zaś ginęła, to prosimy napisać a zmienimy. Maciek ucieszony, że się Panu podoba. — Józef Lebuda w B.: Nagrodę los wyznacza, a my wobec losu jesteśmy bezsilni. Niech Pan częściej przysyła rozwiązania a może los poszczęści. — Jan Inglot w S.: Wiersz na konkurs ot zymaliśmy. — Cupryś Stefan: Drobiazgi konkursowe umieścimy. Ciekawe rzeczy są dla nas bardzo pożądane, więc prosimy przysyłać. — Franciszek Masełko w N.: Do zagadek trzeba koniecznie przysyłać dokładne rozwiązania, bo inaczej są one dla nas bez użytku — Józef Kobylański w L.: Wiersz p. t. »Sen« otrzymaliśmy. Rozwiązanie wierszem było dla nas miłe, ale nie umieściliśmy go dlatego, aby nas nie posądzono, że się sami chwalimy. — Józef Chorzępa w N.: Gazety nie są na to, aby w nich »puszczać wiadomości« o chłopaku którego żadna nie chce. Kazimierz Tokarski w M. w.: Łamigłówka dobra — umieścimy. — Mateusz Zięba w O. B.: Szarada dla nas niezrozumiała. — Izydor Wardzała w Ł.: Zagadki na ogół dobre, więc skorzystamy. W słowie »karo« jest rzeczywiście niewłaściwość, więc tej szarady drukować nie będziemy. Niech się Pan nie obawia, że się nam naprzykrza, gdyż kto pisze do nas, ten widocznie interesuje się »Rolą« — a to nas cieszy. — Jan Styś w W.: Nic dziwnego, że Maćka zaczynają inne gazetki naśladować, ale niech tam! naśladownictwo zostanie tylko naśladownictwem. — Antoni Janas w K.: Maciek Bzdura za przysłane 45 h. w prezencie dziękuje. Ofiarowaną kwotę przeznaczył dla chorego staruszka, który z nikąd pomocy niema. — Emil Nierychel w Z.: Wiersz o Maćku jako przeróbka ze znanego wiersza drukowany nie będzie. — Jan Spławiński w J. p.: Skorzystamy później. — Stefan Dżumaga w H.: Jan Terlecki pisze nam, że pieniądze były przeznaczone na jego prenumeratę. Proszę nam coś napisać o tem. — Stanisława Szołginia w L.: Żałujemy, już nie mamy. Można dostać w każdej księgarni. — Karol Żyła w Fr.: Wcale dobrze prosimy więcej, gdy się nadarzy sposobność. — Jan Kapka w S.: Kalendarzy już nie mamy. — Józef Lach w B.: Wysyłamy najregularniej we czwartki. Jeżeli Kółko odbiera to stanowczo powinno Panu oddać. — Eichelberger Franciszek w P. W.: Otrzymaliśmy w swoim czasie. — Andrzej Wróbel w K.: Wiersz i opowiadanie nadeszły. — Jan Zajas w W.: Na co otrzymaliśmy 55 halerzy? Numer Pański 1973, nic nie wygrał. Jan Walczak w Z.: Nadesłane dwa wiersze otrzymaliśmy. — Michał Horak w T.: Wysłaliśmy reklamacyę do Lwowa, czekamy na odpowiedź. — Jan Wiesner w D. M.: Zapytujemy uprzejmie jeszcze raz na co nadesłano 60 halerzy? — Ktoś z Głogowa reklamował 3 i 5 numer a nie podpisał swego nazwiska — skad my mamy wiedzieć kto reklamuje? — Paweł Marosz w K.: Numera wysyłamy najregularniej — trzeba upomnieć się na poczcie. Wysłaliśmy powtórnie. — Szewieczak Robert w D.: Listonosz przynoszący przekazy odciął pół nazwiska, tak, że zostało »Szewi« i pod tem adresem numera szły. Dziwi nas, że poczta Panu nie doręczała, ani nam nie zwracała. — Jan Płodzień z Ch.: To zanadto znane. — Michał Mikoś w H.: Artykuł otrzymaliśmy. — Pelagia Rażna w K.: Wierszyki otrzymaliśmy — dziękujemy.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Zarząd Czyt. pol. z K., Krupa Jędrzej z B., Słomka Piotr z S., Józef Nędza z S., Wojtyłówna Anna z Z., Mula St. z Z., Urząd gminny z K., Zyzak Józef z Z., Krzempek Ludwik z Z., Pycior Adam z S., Czerniok Jan z W., Kocoń Jakób z Ł., Krupa Jakób z B. p., Brüse Andrzej z G., Zachariasiewicz Bolesława z K., Średniawa Kazimierz z D., Kopecki Józef z Ch., Ryś Stanisław z L., Koło Macierzy szkolnej z S., Duman Michał z L p., Piotr Olearczuk z B., Zarząd Kółka roln. w Witowie, Kasper Mazur z D., Karol Broda z R., Zarząd Koła T.S.L. w S., Kółko roln. w Strzelcach w., Józef Niedźwiedź z B., Pielichowski Franc. z N., Ludwik Lęza z G., Ks. Jan Bieroński z W., Szybiński Karol z T., Kółko rolnicze z T., Tłaczała Józef z D., Katarzyna Piotrowska z S, Antoni Knobloch z N., Jan Kanty Chlipała z O., Jan Wojcieszak z S. sz., Płachta Izydor z Z., Kółko roln. w Kaszycach, Jan Stasiaczek z S, Jan Blajer z W., Kazimierz Welc z T., Stanisław Hyjek z P., Siąkała Alojzy z P., Kółko roln. w Hnilczu, Nowak Józef z M., Ks. Jakób Zych z K., Purzyński Wincenty z P.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Gnida Józef z O., Kóska Franciszek z B., Kalityński Władysław z P., Stec Wincenty z U., Czopek Franciszek z K., Gąsiorowski Józef z R., Kaczmarek Jan z R., Stanek Józef z G., Mrugacz Teodor z J., Posterunek żandarmeryi z Ł., Gąsiorowski Stanisław z D., Jan Chrząszcz z R., Józef Klus z K., Michał Gabryel z S., Julian Gromada z W., Jan Cesarz z K., Bieniarz Józef z G., Strzok Karol z O. T., Kuropatwa Józef z J., Bronisław Gutkowski z R., Michał Żuk z B., Józef Białas z D., Czytelnia T.S.L. z Rz. p., Pijak Jan z B., Rzym Antoni z Z., Wojciech Gąsienica Duniec z Z., Rachwał Jan z Z.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Bąbaś Władysław z H., Ciepiela Józef z B., Zamoyski Feliks z B., Radoń Jan z I., Stelmach Józef z Rz., Zakład wychowawczy w Daszawie, Jan Krempa z Ch., Senkowski Piotr z K.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 7 lutego:

Buhaje	Kor.	100	do	500	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	130	„	260	„
Jałówki	„	80	„	220	„
Cielęta	„	22	„	60	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	138	„	148	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 7 lutego:

Pszenica	Kor.	10·35	do	10·90	za 50 kg.
Żyto	„	7·60	„	7·90	„
Jęczmień	„	7·60	„	8 —	„
Owies	„	8·20	„	8·65	„
Otręby pszenne	„	4·75	„	4·90	„
Otręby żytnie	„	4·70	„	4·80	„

Zagadki do nagrody.

1. METAGRAM.

(Nadesłał Wojciech Szocik z D. M.).

Już od wieków w wielkiej cenie —
A dwojakie ma znaczenie.
Przez swe dźwięki panią woli
Do uciechy młódź zespoli.
Z »b« literą — drzewem będzie,
Z »d« zniszczenie szerzy wszędzie,
Z »m« ma poważanie,
Z »t« za dobrą rzecz się stanie.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Franc. Kellner z P. L.).

W koszyku leży 5 jabłek. Jak rozdać je pięciu osobom, ażeby i w koszyku jedno zostało?

3. SZARADA.

(Nadesłał Piotr Kędzierski).

Pierwsza wspak i druga wspak literę mianuje,
Trzecia wspak — to król bez państwa a je-
[dnak panuje.
Całość mąż uczony w Polsce go znajdziecie,
Pragnął on Ojczyzny, jak wy jej pragniecie.

4. ZAGADKA rachunkowa.

(Nadesłał Karol Żyła z F.).

Dwaj pasterze paśli po kilka krów. Jeden z nich rzekł drugiemu: — Daj mi jedną krowę, a będę miał dwa razy tyle krów, co ty. — Daj mi ty raczej jedną — odrzekł drugi — a wtedy będziemy mieli równo. Ile miał każdy pasterz krów?

* * *

Za dobre rozwiązania przeznaczamy, w nagrodę:

1) *Djabelski statek* z 13 obrazkami.
2) *Boże Narodzenie* z 4 obrazkami.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 18 lutego 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 5 *Roli*: 1. Łamigłówka: **Tygodnik *Rola***, 2. Szarada: **Cecora**, 3. Szarada: **Jeleń**, 4. Szarada: **Cytryna.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

I.

Nagroda wabi,
Zagadka nęci!
Do rozwiązania
Nabrawszy chęci,
Doszłam do wniosku,
Że to nasz znany
Tygodnik »Rola«
Ilustrowany.

W tej łamigłówce
Kryje się ładnie,
Czeka ciekawy
Kto go odgadnie.
W drugiej szaradzie
Jeleń potężny!
W trzeciej Cecora,
Gdzie zginął mężny
Hetman Żółkiewski
A z nim rycerze,
Życie ojczyźnie
Dając w ofierze...
Barbara Siwkówna z G. S.

2.

Chcę i ja wysłać wierszem rozwiązanie,
Chociaż to będzie niełatwe zadanie!
Szarada pierwsza ma to znaczenie,
Że szybko biegną nasze jelenie:
Druga z niej zgłoska upraszcza mi ją.
Gdyż lenie tylko pracą nie żyją.
Druga szarada tem się zaczyna,
Że kruszec jasny, to będzie cyna,
Którzy muzyki zaś słuchać wolą,
To ich z pewnością cytry zadowolą.
Całością cytryna, owoc południowy,
Z herbatą go pijecie, gdyż to napój zdrowy.
Nad łamigłówką nie długo myślałem,
I w pięć pacierzy już ją rozwiązałem,
Bo cóż nad Tygodnik Rolę może być lepszego,
Również niedrogiego a pożytecznego.
Jeżeli więc dobrze »Rolę« poznacie
To ją z pewnością wszyscy pokochacie.
Ja też ciekawie »Rolę« czytuję,
I mam nadzieję, że coś wylosuję.
Kędzierski Piotr z P.

3.

Łamigłówka ładna,
I szarady także,
Że nie trudna żadna
To wam też wykażę.
Nasz »Tygodnik Rola«
Boć tak się nazywa,
Ludzi rozwesela,
Pożyteczny bywa.
A czasem po roli
Jeleń też ugania,
I to nie powoli,
Bo szybszy od konia.
Szarada zaś druga,
Co innego powie,
Jakto szli na wroga
Nasi pradziadowie.
I w ofierze życie
Nawet hetmanowie
Dawali też przecie
Niech Cecora powie!
Zagadkę zaś czwartą,
Dobrze znają ludzie,
Bo piją z herbatą,
Więc cytryna będzie.
Jan Bąbaś.

4.

Prawie w sobotę otrzymałem »Rolę«,
Nad wszystkie pisma ja ją tylko wolę.
Patrzę w zagadki — jest Tygodnik »Rola«,
Który swą nazwę posiada od pola.
Drugiem zwą nicponia,
Całością jelenia.
Żółkiewski hetman był —
Tyle jego mienia.
Pod Cecora zginął
I dziś go już niema!
A trzecia szarada
Mozołu nie zada,
Bo to jest cytryna
Kwaśniejsza od wina.
Izydor Wardzała z Ł.

* * *

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.: Piotr Lipowiak z L., Jan Ruchlewicz z B., Franc. Cyran z M., Wacław Tomaszewski z P., Mikołaj Wyżykowski z R., Józef Bialonczyk z Z., Piotr Sendyk z P., Józef Kubielas z L., Józef Gasiński z B., Franc. Żebrok z B., M. Zięba z O. B., Rudolf Kula z M. K., Jadwiga Kobylańska z B., Piotr Gajoch z P., Antoni Byrtus z J., Adam Zieliński z M. Z., Kazimierz Kowalski z K., Fr. Guja z D., Wład. Kisała z K., St. Garzeł z B., Wład. Dziwisz, Marcin Wojtowicz i Adam Cham z W. R., Tomasz Czernek z C., Franc. Dziadek z W. G., Józef Pawełek z O., Józef Lipka z S., Wojciech Szocik z D. M., Józef Szocik z D. M., Franc. Kellner z P. L., Piotr Bielecki z D., Jan Spławiński z J., Kaz. Sierosławski z G., Michał Serafin z W. Z., Karol Żyła z F., Antoni Ziemiński z K., Michał Kołodziej z L., Jan Doliński z W., Stanisława Szołginia z L., Józef Lebuda z B., Józef Kuliński z W., Zygmunt Bogdański z J., Jan Walczak, Wojciech Ćwiok z P. B., Jan Inglot z S., Jan Burghardt z S., Karol Pers z G. R., Józefa Hirszberg z K., Jan Płodzień z Ch., Leon Łętowski z S, Wł. Lanoszka z S, Stan., Kowalska z K., Michał Gnojek z N. D., Eugeniusz Oczkowski z G., Kaz. Szeliga z B., Czytelnia polska w Dolinianach, Jan Piszczek z S. M., Szczepan Kapała z O., Franc. Klocek z N. T., Marya Synowcówna z Ś. G., Józef Wilk z T., Jan Kłoda z M., Jan Moś z Cz, Jan Iwański z T., Józef Kałuża z G., Lud. Misiora z B., Jan Brzeziński z K., Jakób Gawryś z B., Franc. Teper z M. K., Michał Pietryka z B., Franc. Żyguła z Ł., Wł. Stefański z G., Tarka Józef z W. Ż., Rudolf Budziński z S., Józef Walatek z R., Stefan Dziadyk z M., Jan Śliwiński z B:, Jakób Krzemiński z K., Adela Bezokówna z K., Jan Kulczycki z R. R., Fr. Migdał z S., Józef Krukurka z Rz, Józef Waszek z J., Jakób Kassolik z P., J. Gąsior z S., Józef Witek z Ś., Józef Łyczak z H., Józef Pękala z H., Antoni Nowak z H, Bolesława Zachariasiewicz, Józef Kobylański z L. (wierszem), Kazimierz Tokarski z M. w. (wierszem), Józef Ralski z O. (wierszem), Wojciech Franc z K., Józef Czachor z M. Adam Jesionek z Ch., Leon Karwowski z R.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Witoldowi Synowie*** wylosował p. **Stanisław Garzeł** z B., zaś drugą p. t. ***Przemytnik*** wylosował p. **Piotr Bielecki** z D.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.